

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głosu Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

Robotnik polski w Niemczech domaga się opieki

NIEDYSKRECJE:

Stadium wstępne rokowań o ewakuację Nadrenji	610
Wielkie przedstawienie galowe pacyfizmu	"
Żale prezydenta Hindenburga	"
Zwrot w prawo wyborców szwedzkich	"
O ROBOTNIKA POLSKIEGO W NIEMCZECH Wojciech Szukiewicz	"
PIERWSZA KONFERENCJA POKOJOWA T. Gruzewski	611
O DEPARTAMENCIE SŁUŻBY ZDROWIA I JEGO PROGRAMIE Dr. Wernic	612
LIPSK PODCZAS TARGÓW JESIENNYCH W. S.	613
NA SZLAKU WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ — KURSY PROF. ZIMMERNA W GENEWIE	614
NA MARGINESIE RÓZMÓW Z UMARŁYMI Leo Belmont	615

„GŁOS PRAWDY LITERACKI“

Malarze na rynku Juliusz Kaden-Bandrowski	617
Elegja Jan Brzechwa	618
Literatura a muzyka K. Stromenger	620
Na marginesie jkb.	"
Nowości francuskie M. Czapska	621
Młoda Polska Gabrijela Pauszerówna	622
Nad książką M. Toporowski	"
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego	623

NIEDYSKRECJE

STADJUM WSTĘPNE ROKOWAŃ O EWAKUACJĘ NADRENJI nie dała właściwie żadnych konkretnych wyników. Nie można bowiem uważać za nie decyzji utworzenia dwóch komisji o bardzo zawilim charakterze i bardziej jeszcze zawilim zadaniach. Zrozumiałą więc jest rezerwa, z jaką po przedwczesnych fanfarach, odnosi się do narad genewskich prasa niemiecka. Przypuszczać należy, iż dalszy bieg pertraktacji będzie długi i mozolny, a jak twierdzą niektórzy sceptycy niemieccy, może potrwać nie o wiele krócej, aniżeli reszta okresu okupacyjnego, jaka pozostała dla drugiej strefy. Jeżeli zatem pewne koła francuskie łączyły z tą sprawą nadzieje na rychłą realizację długu niemieckiego w stosunku do Francji, grozi im poważne rozczarowanie. Częściowa likwidacja problemu reparacyjnego wydaje się niemożliwością, a całkowite jego uregulowanie w żadnym wypadku nie da się przeprowadzić bez aktywnego udziału wszystkich zainteresowanych z Ameryką na czele. Plan Davesa był wymownym tego przykładem. Wobec tego iż niema mowy by przed wyborami nowego prezydenta rząd amerykański zgodził się na rewizję tego planu, strona finansowa ewakuacji Nadrenji będzie musiała być stopniowo odkładana. Nie mniej trudności nastrocza jej druga strona, dotycząca bezpieczeństwa Europy.

Opinia publiczna na zachodzie zaczyna zdawać sobie dokładnie sprawę, iż nie sprowadza się ona do kontrolowania granicy francusko-niemieckiej. Okupacja Nadrenji, jako rękojmnia wykonania Traktatu Wersalskiego, miała szersze cele. Dotyczyła ona całokształtu zobowiązań niemieckich, traktatowo zawartych. W tym sensie beneficjarjuszami jej byli i inni sąsiedzi Niemiec. Jest więc rzeczą naturalną, że sąsiedzi ci, a przede wszystkim Polska, domagają się wysłuchania i ich głosu w sprawie ewakuacji. Niemniej naturalne jest, iż żądania te wyprowadzają z równowagi nacjonalizm niemiecki. — szczegół, który potwierdza tylko ich słuszność.

* * *

WIELKIE PRZEDSTAWIENIE GALOWE PACYFIZMU zakończone zostało podpisaniem t. zw. paktu Kelloga, zawierającego uroczyste zrzeczenie się sygnatarjuszy wojny, jako środka załatwiania sporów międzynarodowych. Do paktu tego przystąpiły niemal wszystkie państwa świata cywilizowanego, nie wyłączając nawet Z. S. S. R. A jednocześnie rozlegają się z różnych stron akompanjamenty tej uroczystości, które trudno nazwać harmonijnymi. Dowodzą one, jak mało jeszcze świat ma zaufania do tego rodzaju walki z wojną. Stare hasło: si vis pacem para bellum nie straciło jeszcze nic ze swojej aktualności. W chwili bowiem, gdy delegaci 15 państw kładli swój podpis pod paktem, nad Londynem odbywały się wielkie manewry powietrzne, które wykazać miały bezbronność stolicy Albionu przed atakiem nieprzyjacielskich samolotów. W ubiegłym tygodniu podobne manewry zorganizowane zostały w okolicach Paryża, według planu obrony stolicy Francji przed napadem flotyli nieprzyjacielskiej. W Rzeszy Nie-

mieckiej dokonywane są próby wytwarzania sztucznych chmur celem uchronienia miast lub też ważniejszych węzłów kolejowych i fabryk od zbombardowania przez nieprzyjacielskich lotników. Czyż nie jest to wszystko najlepszym dowodem, jak małe jeszcze znaczenie mają podpisy pod paktem zrzeczenia się wojny, w jak nikłym stopniu psychika współczesna dostosować się może do stanu prawdziwie i całkowicie bezwojennego?

* * *

UKŁONEM W STRONĘ NACJONALISTÓW NIEMIECKICH było przemówienie prezydenta Hindenburga w Wielkich Strzelcach na Górnym Śląsku. Po głośniejszej mowie genewskiej Brianda zażądali oni natychmiastowego odwołania delegacji niemieckiej z Genewy, — podczas toczących się obecnie rokowań o ewakuację Nadrenji uderzają na alarm, iż Niemcy za zbyt drogim kosztem odzyskują tereny okupowane. Nad temi pozuremi prognozykami prawicy rząd Rzeszy przechodzi do porządku dziennego. Pragnąc jednak dać jej pewne zadośćuczynienie, marszałek Hindenburg wylewa na Górnym Śląsku krokodyle łzy, nie mogąc „przeboleć ani zapomnieć tego, co oderwano”. Przy tej okazji poddaje on ostrej krytyce pamiętną decyzję Ligi Narodów o plebiscycie górnośląskim, zaś dziennikarzom w Opolu zwierza się, że nie ulega iluzjom, nie wierzy więc w doniosłość wyników polityki lokarneńskiej. Podjąć ją wszakże, zdaniem marsz. Hindenburga, należało by zademonstrować przed światem pokojowe tendencje Niemiec. Sędziwy prezydent Rzeszy odkrył, zapewne mimowoli, tajniki dyplomacji niemieckiej ostatnich sześciu lat. Jeśli wszystkie posunięcia pojednawcze dokonywane są przez Niemcy w tym duchu, „bez iluzji” i tylko celem wykazania quasi pokojowych uczuć, służyć to winno przestrożą dla dyplomatów aljanckich, zwłaszcza obecnie, w okresie rokowań sześciu państw o przedterminową ewakuację okupowanych terenów Nadrenji.

* * *

ZWROT W PRAWO WYBORCÓW SZWEDZKICH nie jest niespodzianką. Długotrwały strajk górników, zasilany finansowo przez agentów komunistycznych, odstraszył niejednego radykała mieszczańskiego od zbyt czerwonych barw szwedzkiego socjalizmu. Z drugiej znów strony niezdecydowana prohibicyjna polityka liberałów, znajdujących się u steru rządów, nie cieszyła się zbyt wielką sympatią w szerszych kołach ludności. Nie dziw więc, że konserwatystom, przy zastosowaniu proporcjonalnego systemu wyborów, udało się zyskać o 8 mandatów więcej, aniżeli w roku 1924-ym. Jakkolwiek jednak socjaliści stracili 13 mandatów, nie oznacza to klęski partii robotniczej, skoro się zważy, że frakcja socjalistyczna nadal pozostaje największą w Riksdagu, oraz że ilość głosów oddanych na posłów socjalistycznych nawet wzrosła o przeszło 100 tysięcy! Lewicę parlamentarną wzmocniło też dość znaczne zwycięstwo komunistów, którzy zyskali 4 mandaty. Wobec wyniku wyborów, spodziewać się należy ustąpienia liberalnego gabinetu Ekmana i utworzenia koalicyjnego rządu włościańsko-konserwatywnego, popieranego przez demokratyczne centrum.

O ROBOTNIKA POLSKIEGO W NIEMCZECH

Nie roztrząsając w tej chwili zagadnienia celowości posyłania do Niemiec całej armii polskich robotników rolnych zarówno z gospodarczego, jak i narodowego punktu widzenia, ani też nie zastanawiając się nad tem,

czy polsko-niemiecka umowa emigracyjna nie przedstawia pewnych wątpliwości, czy brzmienie kontraktów nie nasuwa pewnych poważnych refleksyj, musimy stanąć na gruncie realnym istnienia eksportu polskich sił roboczych na rynek niemiecki i wyciągnięcia z tego faktu najdalej idących konsekwencji.

Rolnictwo niemieckie potrzebuje taniej siły roboczej, której Polska ma do zbytku, a więc zdawałoby się, że

transakcja jest oparta na tak dalece idącej wspólności interesów, iż o jakiegokolwiek ich sprzeczności mowy być nie może. *Do ut des* — oto silna pozornie podstawa do zgodnej współpracy dwóch czynników.

Tak wszakże nie jest, nie tylko bowiem mamy tutaj do czynienia z prostą sprzecznością interesów klasowych między pracodawcą a pracobiorcą, ale nadto spotykamy się z dodatkowym pierwiastkiem przeciwieństw kulturalnych i narodowych w najbardziej klasycznej postaci. Z jednej strony robotnik polski boleśnie odczuwa fakt, że zmuszony jest pracować dla Niemca, z drugiej, właściciel czy dzierżawca majątku nie może zapomnieć, że stosunki przedwojenne absolutnej przemocy nad robotnikiem polskim, skończyły się raz na zawsze i że trzeba go traktować, jak pełnoprawnego człowieka, który swych krzywd zechce i potrafi dochodzić.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że istnienie Poselstwa z Radcą Emigracyjnym w Berlinie i szeregu placówek konsularnych w najważniejszych rolniczych centrach niemieckich uniemożliwia zasadniczo wyzysk robotnika polskiego w jego najbardziej jaskrawych przejawach, ustawiczne bowiem interwencje, kończące się nieraz procesami, trzymają skutecznie germańskie zapędy na wodzy. Zasadniczo opieka konsularna jest skuteczna i w skutkach swych dobroczynna.

Ale urzędowe traktowanie sprawy, całości zagadnienia nie wyczerpuje, istnieje tu bowiem jeszcze pierwiastek natury społecznej, z którym poważnie liczyć się należy. Jeżeli bowiem robotnik niemiecki mimo wszelkiej ochrony prawnej musi ustawicznie walczyć o swe prawa i toczyć z pracodawcami niekończące się boje, to coż mówić o robotniku polskim, z jednej strony obawiającym się utraty jedyne go zarobku i możliwości wyżywienia siebie z rodziną, z drugiej w wysokim stopniu bezradnym wskutek nieznamomości języka i niemożności upamięnienia się z tej racji o swoje prawa. Jakkolwiek rzecz ta wymaga osobnego omówienia, tutaj nawiasowo tylko zaznaczyć należy, iż, niestety, polacy władarze, od których los polskich robotników rolnych w wysokim stopniu zależy, nie tylko nie odgrywają roli orędowników powierzonych swej pieczy ludzi, lecz częstokroć uprawiają na własną rękę ich wyzysk, pogarszając ich i tak już nie wesołą, dolę.

I tutaj ujawnia się konieczna potrzeba jakiejś polskiej organizacji zawodowej, któraby stale i konsekwentnie występowała w obronie polskich robotników rolnych. Wprawdzie istnieje „Niemiecki Związek Robotników Rolnych”, który chętnie bierze w opiekę „polskich braci” i „polskich kolegów”, ale czy jest rzeczą pożądaną oddawanie tych ostatnich pod wpływy „braci i kolegów niemieckich”, wobec silnego rozwoju ruchu komunistycznego wśród szerokich sfer niemieckich, wątpić należy. Nie od rzeczy będzie może podać do wiadomości ogółu polskiego, że pod redakcją Waltera Kwaśnika wychodzi w Berlinie (w razie potrzeby) „Polski robotnik rolny w Niemczech” (nota bene złą redagowany polszczyzną), który się z natury rzeczy z pod kontroli naszych placówek konsularnych całkowicie wymyka.

To też z zadowoleniem zaznaczyć należy fakt powstania na terenie Konsulatu R. P. w Lipsku (Saksonja, Turyngja, Anhalt, dwa okręgi pruskiej prowincji saskiej: Erfurt i Merseburg) „Związku Polskich Robotników Rolnych w Niemczech” z siedzibą w mieście Apolda w Turyngji, którego głównym celem jest właśnie obrona zawodowych interesów naszego obywatela. Nie tylko

Związek ten powstał z inicjatywy i poparcia Konsulatu, ale, co ważniejsze, pozostaje pod jego protektorem, przyznanym urzędowo przez sąd niemiecki, który zarejestrował świeżo statut Związku, zastrzegający wyraźnie patronat Konsulatu nad tem nowem zrzeszeniem polskim w Niemczech.

Nie trudno zrozumieć, jak wielka to jest zdobycz, jak znakomity sukces planowej w tym kierunku pracy Konsulatu Lipskiego, który zyskuje w ten sposób podstawę prawną do szeroko pojętej ingerencji w sprawy Związku i może wydatnie wpływać na jego dalsze losy. Szkoda, że brak środków finansowych nie pozwala na dostatecznie pełne wyzyskanie tego uwagi godnego sukcesu, że nie pozwala na, chociażby tak skromne rozmiarami, wydawnictwo, jak wspomniany już wyżej „Polski Robotnik Rolny w Niemczech”, wydawany przez Niemców i za niemieckie pieniądze. Ale przyznać trzeba, że nawet przy tych ograniczeniach natury czysto materialnej, można przy dobrej woli wiele uczynić w kierunku wytworzenia polskiej organizacji społecznej wśród naszych obywateli, dla których otwiera się w ten sposób nowy, niejmy nadzieję pomyślniejszy, okres pracy zarobkowej.

Wojciech Szukiewicza

PIERWSZA KONFERENCJA POKOJOWA

Pakty i manifestacje pokojowe, które rozbrzmiewają tak głośnie echem w okresie powojennym, nasuwają nam wspomnienie pierwszej tego rodzaju próby, zainicjowanej przez cara Mikołaja II dokładnie przed trzydziestu laty.

W ostatnich dniach sierpnia 1898-go roku rosyjski minister spraw zagranicznych hr. Murawjew rozesłał do wszystkich rządów notę cyrkularną, w której wzywał je do rozbrojenia lub przynajmniej ograniczenia uzbrojeń i proponował urządzenie w tym celu konferencji.

Nota, ułożona w tonie patetycznym z akcentami demagogicznymi, zrobiła wielkie wrażenie. Powiększał je poniekąd widoczny kontrast pomiędzy ideą pokojową, a rolą dziejową jej nadnewskiego obrońcy. Cały świat wiedział, że carat rósł w potęgę i znaczenie na wojnach i zaborach, że nawet w okresach najgłębszego pokoju, dla utrzymania porządku wewnętrznego, uciekał się stale do metod i środków wojskowych. Nagle ten groźny carat zmienia się w anioła pokoju, który obwieszcza ludom nową erę...

Młodego cara otaczała jeszcze wtedy legenda, która pozwalała jego inicjatywę przypisać osobistym idealnym motywom. Mikołaj II nie miał z temi ostatnimi nic wspólnego i pogardzał otwarcie pacyfizmem. Witte opowiada, że kiedy zamierzano urzędownie uczcić zmarłego Aleksandra III tytułem „Mirotworcy”, Mikołaj sprzeciwił się temu i wręcz oznajmił, że ów tytuł zgola nie przystoi carowi rosyjskiemu. Z tychże pamiętników dowiadujemy się, jakie było prawdziwe źródło tego mniemanego pacyfizmu, który w dalszym ciągu doprowadził do dwóch wojen i do katastrofy caratu.

Chodziło w danym razie nie o cel pacyfizmu, lecz militarysty. Rosja, po zajęciu Portu Artura i Talienwanu musiała podjąć wielkie wydatki w Azji na koleje i zbrojenia lądowe i morskie. Tymczasem zaszła potrzeba za-

stąpienia starych armat nowymi szybkostrzelnymi. Nie było w skarbie pieniędzy na ten nowy wydatek. Ówczesny minister wojny, Kuropatkin, któremu wogóle chodziły po głowie dziwaczne pomysły, chciał w drodze umowy skłonić Austrię do odroczenia owego remontu i zareczyć jej, że Rosja zrobi to samo. Ale inni ministrowie cara, a przede wszystkim Witte, zrozumieli, że tak gruba gra może Rosji tylko zaszkodzić, że całą sprawę trzeba poprowadzić z większą o wiele przebiegłością. Zainscenizowano wielką akcję pacyfistyczną, która miała, odpowiednio do planów polityki rosyjskiej, urobić opinię europejską. Pomiedzy notą Murawjewa a samą konferencją upłynęło dziesięć miesięcy i w ciągu tego czasu dyplomacja rosyjska miała sposobność zbadania nastrojów europejskich i tego fermentu, jaki powstawał wskutek perspektywy pokojowej.

Wbrew banalnym przewidywaniom, które kazały oczekiwać niemal jawnego buntu parlamentów i opinii przeciw rządowi i nakładanym przez nie ciężarom wojskowym, nawet partje i kierunki opozycyjne zachowały naogół równowagę i spokój. Socjalizm w głównych państwach europejskich odniósł się do inicjatywy carskiej z nieufnością i podejrzliwością. Przywódcy socjalistyczni we Francji, wraz z przeważającą opinią kraju, stanęli na stanowisku, że dopóki istnieje kwestja prowincyj zabranych oraz kwestja Egiptu, republika francuska nie może działać na rzecz stabilizacji istniejącego stanu.

W Polsce, jak wiadomo, toczyła się wówczas walka pomiędzy ugodą, a kierunkami niepodległościowymi. Te ostatnie ustosunkowały się wrogo do pacyfikacji carskiej i starały się ją dyskredytować w naszej opinii.

Zresztą polityka rosyjska nie przykładła do swej imprezy szczególnej wagi i nie miarkowała wyzywającej postawy względem Anglii w Azji.

Gdy wyznaczeni pełnomocnicy zebrali się w Hadze, optymistyczne nastroje z przed kilku miesięcy zdążyły już ostrygnąć i można było łatwo odgadnąć, że z całej tej próby nic poważnego nie wyniknie.

Rzecz szczególna, że już wtedy nawet o wiele wyraźniej wystąpił rys znamieny, który odtąd charakteryzować będzie wszelkie debaty rozbrojeniowe, ten mianowicie, że każda strona zaleca tylko te środki, które stanowią dotkliwy uszczerbek dla współzawodników, a jej własną stosunkową siłę raczej powiększają niż zmniejszają.

Delegacja rosyjska wystąpiła z wnioskiem, aby wszystkie państwa zobowiązały się do powstrzymania uzbrojeń w metropolji, a natomiast mogły je według upodobania rozwijać w kolonjach. W praktyce przyjęcie owego wniosku miało skrzepować ręce wszystkim państwom europejskim, a Rosji pozostawić zupełną *carte blanche*. Jej bowiem „kolonje” zaczynają się zaraz za Uralem i łączą się organicznie z obszarem europejskim. W okresie wielkiej polityki azjatyckiej, która wtedy była w pełnym rozpędzie, dla Rosji było nader korzystnie tworzyć nowe formacje wojskowe w Azji i tam powoli przenosić środek ciężkości polityki państwowej. Książę Uchtomskij, jeden z doradców Mikołaja II, w tej dziedzinie domagał się nawet przeniesienia do Azji stolicy caratu. To, co on uważał za przyszłą podstawę olbrzymiego imperjum, figurowało w urzędowej dyplomacji pod nazwą „Kolonji”. Z tych kolonji, nie oddzielonych od europejskiego terytorjum morzem, ani żadną przegrodą, mogły

na rozkaz cara wojska rosyjskie ruszyć każdej chwili na fronty europejskie.

Oczywiście Europa nie pozwoliła się wziąć na tak ordynarny „kawał” i odrzuciła wniosek rosyjski.

Niemniej znamieny był stosunek państw do różnych okrutnych i niszczących wynalazków wojennych, jakie już wtedy miały wejść w życie. Zabroniono rzucania z balonów bomb i materij wybuchowych. Niejeden ze współczesnych czytelników mógłby się dziwić, jakim cudem konferencja z przed lat trzydziestu uchwaliła zakaz, którego w naszej „humanitarnej” dobie niepodobna byłoby przeprowadzić przez żaden pakt pokojowy. Zagadka ta rozwiązuje się w prosty sposób. Za czasów konferencji haskiej nie było jeszcze samolotów ani sterowców. Zrucanie pocisków wybuchowych z balonów bez steru nie obiecywało wtedy poważniejszych wyników, a więc można było na nie machnąć ręką, lub, wyrażając się pięknie — zrobić z nich ofiarę na wielkim ołtarzu humanizmu i braterstwa. Od tego czasu wszakże ludzie nauczyli się latać i dzisiaj już nikt nie myśli o wyrzeczeniu się broni, która okazała się tak skuteczną.

Konferencja w Hadze, która zrodziła się z podstępui i obłudy, stała się poprzedniczką dwóch wojen. Nienajlepszy to prognostyk i dla innych paktów oraz manifestacji pokojowych, w których nietrudno byłoby się doszukać pewnych z ową konferencją analogji.

T. Gruźewski

O DEPARTAMENCIE SŁUŻBY ZDROWIA I JEGO PROGRAMIE

Departament Służby Zdrowia objął przeważną część zadań byłego Ministerstwa Zdrowia Publicznego, odstępując Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej — opiekę nad matką i dzieckiem. W rozporządzeniu, określającym kompetencje pomiędzy ministerstwami, wykluczono z działu opieki nad matką i dzieckiem dział „eugeniki”, który pozostał przy Departamencie Służby Zdrowia.

Jakież zadania programowe otworzyły się przed nowo powstałym Departamentem Zdrowia? Można by długo subtelizować odpowiedź, którą jednak należałoby streścić w jednym zdaniu: „program obejmować winien odrodzenie fizyczne i psychiczne obywatela Niepodległej Polski.

Z dwu wielkich zadań, których załatwienie państwo polskie żąda od departamentu: 1) higienicznego (mającego na celu ulepszenie warunków zewnętrznych, w których żyje naród) i 2) eugenicznego (mającego na celu przetworzenie typu polaka pod względem fizycznym i umysłowym), oraz wytworzenie najbardziej dzielnego pracownika dla państwa i społeczeństwa, to ostatnie jest dla państwowości polskiej i głębsze i ważniejsze.

Warunki niewoli w ostatnich latach 30 sprzyjały pracy higienicznej w stowarzyszeniach — gdyż, zdaniem zaborców, ta ostatnia odciągała umysły od najważniejszych dla bytu zagadnień politycznych — niepodległościowych. To też na czele tych instytucyj mogli stać urzędnicy do specjalnych zleceń przy J. gubernatorze, gdyż wszelkie zagadnienia polityczne były zgóry wykluczone z zakresu towarzystw higienicznych — a uchwały o samorządzie, zgłoszone w gorących latach 1905 — 6 r. na zjeździe higienistów do prezydium T-wa, nie ujrzały więcej światła dziennego.

Całe zastępy hygienistów, którzy stanęli na placówkach państwowych, są owocem ruchu hygienicznego przedwojennego. Uwaga ich została skierowana na udoskonalenie warunków zdrowotnych — zewnętrznych, w których żyje ludność.

Ruch eugeniczny nb. najmocniej rozwijający się w krajach anglosaskich, Anglii a przede wszystkim Stanach Zjednoczonych, poczęści zaś w Niemczech, Belgii i Francji, w pierwszym rzędzie skierowany został ku poznaniu indywidualnemu materiału ludzkiego, jego sił wewnętrznych — jego uzdolnień. Oparci na nauce zwanej eugenetyką, eugenisci pragną przetworzyć i uszlachetnić rasę ludzką, wydobyć z niej maximum cech twórczych i talentów oraz uzdolnień.

Na pierwszy plan wysuwają eugenisci sprawę właściwego doboru ludzkiego w związkach małżeńskich, do czego praktycznie zbliżają się przez racjonalne zorganizowanie i spopularyzowanie „porad przedślubnych”. Człowiek przynosi na świat cały materiał z którego następnie się rozwija. Dlatego zapobieganie aby nie żenili się ci, którzy mogą przekazać chorobę dziecku lub matce — jest pierwszym wskazaniem porad przedślubnych. Suchotnicy gorączkujący, chorzy wenerycznie lub umysłowo, nie powinni się żenić, podobnie jak i cierpiący na daleko posunięte wady serca. Przekazując potomstwu cierpienia lub słabą budowę cielesną, t. zw. konstytucję, czynią je niezdolnym do pracy i zmuszają Państwo do olbrzymich wydatków na utrzymanie instytucji w rodzaju zakładów dla obłąkanych, niedorozwiniętych i przestępców.

Walka z czynnikami zwyrodniającymi rasę, niszczącymi człowieka jeszcze w zarodkowym okresie jego rozwoju — jako to truciznami lub zarazkami w rodzaju syfilisu — jest drugim zadaniem eugenistów. Do trucizn tych zaliczyć musimy oprócz alkoholu, morfinę, opium, kokainę, ołów i inne środki zawodowe.

Trzecim zagadnieniem eugeniki jest poznanie materiału ludzkiego tworzącego dane państwo, zarówno uzdolnień poszczególnych jednostek jak i skupień ludności, w zależności od warunków klimatycznych i geograficznych. W obrębie zagadnień eugeniki rozwinęła się t. zw. antropologia rodowa, mająca na celu badanie z jednej strony rodzin o cechach wybitnie dodatnich, z drugiej — o cechach ujemnych. (żebraków, przestępców, obłąkańców.).

Czwartym zadaniem eugeniki, polegającym na umiejętności zastosowaniu uzdolnień ludzkich, musi się bardzo żywo zainteresować Departament Zdrowia, popularyzując wśród młodzieży wiadomości o wyborze zawodu oraz zasilając ruch psychotechniczny, mający na celu odrodzenie Polski przez jej synów.

Indywidualizacja psychologiczna typów najbardziej trudnych do prowadzenia wśród młodzieży, nieraz charakterów bogatych i bujnych, wkracza w dziedzinę eugeniki — staje się jej zadaniem czołowym. Indywidualizacja, zdaniem eugenistów, powinna być miarą nawet przy uprawianiu ćwiczeń fizycznych, sportowych, dla których dzisiaj zabłysła szczęśliwa i mocno finansowana gwiazda.

Z tego punktu należy oceniać *poradnie eugeniczne*, które obok porad przedślubnych, porad dla matek i dzieci, obarczonych dziedzicznie, porad wyboru zawodu oraz indywidualizacji psychologicznej, udzielają bezpłatnych porad sportowych w duchu eugeniki.

Takimi drogami krocząc, Departament Śl. Zdrowia spełni wielką rolę w pracy nad odrodzeniem ojczyzny. Lecz na to trzeba przyznać eugenice równorzędne z hygie-

na znaczenie. Tymczasem olbrzymie zagadnienie nowej nauki eugeniki dotychczas nie pozostało dostatecznie ocenione i w zbyt skromnym budżecie Dep. Zdrowia żadna pozycja budżetowa nie została zaznaczona. Cały ciężar pracy eugenicznej spadł na barki instytucji społecznej. Jest nią Polskie T-wo Eugeniczne istniejące szereg lat, towarzystwo, które ma 6 oddziałów (Warszawa, Poznań, Katowice, Białystok, Włocławek). Reprezentuje Polskę w związkach międzynarodowych: 1. eugenicznym i 2. walki z chorobami wenerycznymi, wydaje kwartalnik „Zagadnienia Rasy”, „Bibliotekę eugeniczną”, propagandowe plakaty i ulotki, prowadzi poradnię eugeniczną, kino dla młodzieży i dzieci, organizuje kursy dla lekarzy, nauczycieli, studentów i szerokiej publiczności.

Wiemy, że stoi ono wobec bardzo ciężkich warunków finansowych przy jednoczesnym mocnym pulsie życia, który przejawia się w jego działalności.

Czy ministerstwo skarbu, które niedopuściło inicjatywy sejmu we wprowadzeniu w budżecie poprawek, nie będzie uważało za stosowne wprowadzić zawczasu odpowiednich pozycji w Dep. Służby Zdrowia?

Dr. Wernic.

LIPSK PODCZAS TARGÓW JESIENNYCH

(Korespondencja własna „Gł. Pr.”).

Poważne przez cały rok niemieckie miasto uniwersyteckie o małym względnie ruchu i słabym tempie życia, nabiera rozmachu i temperamentu podczas swych tradycyjnych Targów, mających nie tylko dla miasta samego, ale i dla całych Niemiec tak doniosłe znaczenie. Na przeciąg jakiegoś tygodnia Lipsk zmienia swój zewnętrzny charakter zasługując w zupełności na swe miano „Messestadt Leipzig”. Wszystkie wystawy sklepowe sadzą się na przyciągnięcie uwagi przechodniów, wśród których tak wielu jest obcych i cudzoziemców; wszystkie magazyny wysilają się na jak najskuteczniejszą reklamę swych artykułów, które każdy zachwala, jak umie. Na domach zawisa całe mnóstwo różnobarwnych chorągwi, po mieście, którego ulice napełniają się sprzedającą i kupującą publicznością, spacerują poważnym krokiem kolporterzy gazet, wywołujący flegmatycznym głosem co ciekawsze i uwagi godne artykuły, sterczą nieliczni zazwyczaj policjanci w znacznie zwiększonym komplecie przestrzegając porządku i ładu, aby zapobiec nieszczęśliwym wypadkom, grożącym ustawicznie ze strony po warjacku jeżdżących samochodów i motocyklistów.

Na dużym i ładnym Augustaplatz powstaje kilka kiosków czy pawilonów łaknących reklamy firm, których nie można pomówić ani o smak, ani o pomysłowość. Wynosi się ponad inne Wieża Porcelanowa, gdyż w tym roku Niemcy kładą szczególniejszy nacisk na reklamowanie tej gałęzi swego przemysłu. Brzydka, opatrzona szeregiem ciężkich sentencji, została pokryta wielką ilością małych białych filiżaneczek — rzecz zaprawdę bez odrobiny gustu i siły atrakcyjnej. Ale dla dobrych lub szczęśliwych rachmistrzów okazja zdobycia tanim kosztem jednej z 25 nagród od Mk. 5 do 100 za najbliższe prawdy podanie ilości pokrywających wieżę filiżaneczek. Rachujących cały rój.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że w śródmieściu tkwi specjalny Dom Targowy Czeskosłowacki, że więc udział naszych pobratymców w Targach rzuca się w oczy i nie może ująć niczyjej uwagi. Najwspanialej reprezentowany jest dział kryształów mających zresztą swoją ustaloną reputację. Ale, niestety, po obszernym lokalu już trzeciego dnia Targów można było chodzić zupełnie swobodnie, a jedna z przedstawicielek przemysłu czeskiego powiedziała z żalem w głosie: "Moc sprzedających, mało kupujących". Można to bodaj powiedzieć o całości Targów, które nie odznaczały się szczególniejszym ożywieniem.

W pięknej sali uniwersyteckiej znalazł gościnę najciekawszy bodaj dział Przemysłu Artystycznego, który może się poszczycić wielką ilością zwracających uwagę artykułów. Zaznaczyć winienem, że, ku memu zdziwieniu, znalazłem bogato zaopatrzone i korzystne czyniący wrażenie kioski polski p. Alliny z Warszawy, który wszakże również narzekał na słaby interes z powodu braku pieniędzy i małego z tej przyczyny obrotu.

Równocześnie z Targami wystąpiło ostre przesilenie w przemyśle włókienniczym — już kilka fabryk zamknięto, a ilość bezrobotnych powiększyła się o kilka tysięcy ludzi. W prasie pojawiły się artykuły o zamierzonym przez Anglię przejściu do polityki cel ochronnych, a że Anglia jest głównym bodaj odbiorcą wytworów przemysłu niemieckiego, słyszy się i czyta nawoływanie do przygotowania się na smutne dla Niemiec następstwa tej zmiany tradycyjnego stanowiska Anglii i zerwania z zasadą wolnego handlu. Kolejne niemieckie i tak już drogie, użyskały prawo podniesienia taryf przewozowych w celu osiągnięcia z tego źródła 250 milionów marek, co zapowiada falę drożyzny i pogorszenie i tak nie lekkich warunków bytu.

W takiej chwili pozyskanie nowego rynku zbytu dla przesyczonego towarami przemysłu niemieckiego, pierwszorzędne posiada znaczenie i temu zapewne przypisać należy zarysowujący się zwrot w opinii kół miarodajnych na punkcie stosunku do Polski i do mającego się zawrzeć traktatu handlowego. W poważnym piśmie W. E. Z. (Wirtschafts. und Export - Zeitung) pojawiła się na pierwszej stronie właśnie w samym dniu otwarcia targów, autografowana enuncjacja Konsula Generalnego dr. Jerzego Adamkiewicza, zaopatrzone w jego podobiznę a dająca wyraz przeświadczeniu, że ci, którzy się przyczyniają do rozwoju gospodarczych stosunków między Polską a Niemcami, pomagają w dobrze zrozumianym interesie obydwóch stron do wzajemnego przyjaznego na siebie oddziaływania.

Zresztą nie jest to pierwszy artykuł Konsula Generalnego Adamkiewicza w tej samej materji, gdyż pierwszy pojawił się jeszcze dnia 1 sierpnia w sprawie traktatowego uregulowania polsko-niemieckich stosunków gospodarczych, i, rzecz znamienita, również na pierwszej stronie tego tak poważnego pisma.

Na tem wszakże nie koniec, gdyż oto wybiera się w podróż do Polski p. Konsul F. N. Derlien, dyrektor instytutu wydawniczego Lipskiego Urzędu Targowego i wydawca wyżej wspomnianego pisma W. E. Z. (nakład podczas Targów 60,000 egzemplarzy) w celu zbadania na miejscu naszej sytuacji gospodarczej oraz przekonania się o widokach odbudowy na szeroką skalę, stosunków handlowych polsko-niemieckich. Zamierza on pismo swoje, wychodzące obecnie obok niemieckiego w językach: francuskim, angielskim i hiszpańskim, wydawać również i w

języku polskim. Jak wielkie znaczenie miałoby to dla rozwoju polskiego handlu na terenie międzynarodowym mówić bodaj zbyt uczucie. Przypuszczać należy, iż p. Derlien zaopatrzone w list polecający spotka się z zasłużonym, a gościnnym przyjęciem. I jeżeli rzecz wejdzie na pomyslną tory, to już na Targach wiosennych ujrzymy własny pawilon.

Wojciech Szukiewicz.

Lipsk, we wrześniu.

NA SZLAKU WSPÓŁPRACY MIĘDZYNARODOWEJ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ — KURSY PROF. ZIMMERNA W GENEWIE

(Korespondencja własna)

GENEWA, we wrześniu 1928.

Dobiegają właśnie końca roczne kursy wakacyjne, zorganizowane przez *Bureau d'études internationales* pod kierunkiem anglika prof. Alfreda Zimmerna, jednego z wicedyrektorów Międzyn. Instytutu Współpracy Umysłowej w Paryżu.

Kursy te w roku bieżącym odbywają się już po raz piąty z kolei. Mają one charakter zupełnie swoisty i, jeżeli wogóle można znaleźć dla nich jakąś analogię, to chyba tylko z wolnym uniwersytetem, czynnym przez dwa miesiące letnie. Celem kursów jest przede wszystkim zbliżenie młodzieży akademickiej różnych krajów i kontynentów w atmosferze poważnej dyskusji i koleżeńkiego współzycia. Obok tego mają one jednak również i zupełnie poważne zadania czysto naukowe i położyły już niewątpliwie znaczne zasługi na tem polu.

Program kursów obejmuje całokształt życia społecznego narodów, ze specjalnem uwzględnieniem zagadnień międzynarodowych. Są więc omawiane równorzędnie kwestje prawne, społeczno-gospodarcze, narodowościowe, kulturalne, wychowawcze itd.; pakt Kelloga obok problemu surowców; życie polityczne Szwajcarii obok konfliktu idei w świecie powojennym; Indie współczesne obok sprawy mniejszości (ujętej zupełnie ogólnie!); Imperjum Brytyjskie obok czynnika narodowego w sztuce; ewolucja pojęcia neutralności i organizacja szkolnictwa w kolonjach francuskich — podobnych zestawień można przytoczyć znacznie więcej. Wszystkie te zagadnienia omawiane były w sposób czasem trochę dorywczy, ale zawsze z dokładną znajomością poruszonego przedmiotu, a przytem z wyjątkowym obiektywizmem i bezstronnością. Trzeba było np. słyszeć rodowitego francuza — prof. Vermeil'a ze Strasburga — mówiącego o polityce wewnętrznej Niemiec, aby zrozumieć, do jakiego stopnia beznamiętności może dojść prawdziwy człowiek nauki w swojej pracy.

Wykładowcy rekrutowali się w tym roku z pośród szesnastu narodów, m. in. z kraju tak egzotycznego, jak Indie. Przeważnie byli to profesorowie wyższych uczelni, częściowo funkcjonariusze Ligi Narodów i Międzynar. Biura Pracy, kilku czynnych polityków, paru duchownych różnych wyznań. Z Polski zapowiedziany był wy-

kład prof. Folkińskiego z Krakowa, obecnie kierownika Sekcji w Instytucie Paryskim, jednak z powodu choroby prelegenta nie mógł dojść do skutku. Dla informacji należy nadmienić, iż w zeszłym roku na kursach tych wykładów min. Tytus Filipowicz, zaś dwa lata temu — dziekan prof. Handelsman.

Prócz wykładów na całość kursów składa się dyskusja i seminarjum. Dyskusja odbywa się po każdym wykładzie, czasem bezpośrednio, czasem w kilka godzin później. Wolna jest od wszelkich ograniczeń i każdy słuchacz może wypowiadać poglądy nawet wręcz sprzeczne z tezami wykładu, byleby to robił we właściwej formie i bez zaciętrzewienia polemicznego. Seminarjum, pozostające pod osobistym kierownictwem prof. Zimmerna, poświęcone było prawie wyłącznie badaniu ustroju prawno-politycznego poszczególnych państw, przyczem referaty wygłaszali członkowie seminarjum, należący do danej narodowości.

Zespół uczestników stanowił pstrą mozaikę 25 narodowości i 4-ch części świata (Europa, Azja, Ameryka Płn. i Australia). Nie brak było przedstawicieli takich krajów, jak Albania, Irak, przeważali jednak Anglosasi, zwłaszcza Amerykanie i Amerykanki. Ogółem przez kursy tegoroczne przewinęło się około 250 osób, w tem blisko 10-ciu Polaków, głównie z Warszawy.

Językami urzędowymi kursów są francuski i angielski, zupełnie równouprawnione. Zajęcia trwają 5 dni w tygodniu; sobota i niedziela są zawsze wolne, aby umożliwić tradycyjny weekend.

Sprawy polskie wywoływały naogół żywe zainteresowanie na kursach i spotykały się z reguły z przychylną oceną. Przypisać to należy, między innymi, przyjaznemu stosunkowi prof. Zimmerna do Polaków. Częste wystąpienia polskich słuchaczy w toku dyskusji i ich poważny stosunek do poruszanych zagadnień rozproszyły niejedno mylne mniemanie o naszym kraju i niejedno nawpół-świadome uprzedzenie do niego. Dużo także pod tym względem zrobiły prywatne rozmowy z kolegami naszymi innych narodowości. Coraz wyraźniej się czuje, że Polska przestała już być dla cudzoziemców jakimś egzotycznym państwem i że staje się powszechnie uznana, jako ważny czynnik w życiu międzynarodowym. Między innymi ogólne uznanie pozyskała polska propozycja przeciwwojenna, zgłoszona na zeszłorocznym Zgromadzeniu, którą prof. Cassin, prezes francuskiej Federacji b. kombatanów, uznał publicznie za pierwowzór Paktu Kelloga.

Kursy będą jeszcze trwały przez cały czas Zgromadzenia Ligi, ale zmieniają swój charakter i polegać będą właściwie tylko na obserwowaniu prac Ligi Nar. i nawiązywaniu kontaktu z delegatami poszczególnych państw.

Moim kolegą z ławy akademickiej — radzę z całego serca: jedźcie na przyszły rok do Genewy na kursa, choćby na parę tygodni. Będzie to korzystne, przyjemne... i tanie!

NA MARGINESIE ROZMÓW Z UMARŁYMI

*Żywych postaci widma sfalszowane,
Mumie tych kształtów, które czas już zwił,
W ciemnicach grobów ziemnych zatrzymane,
Balsamem twojej Nadziei owiane,
Nieśmiertelnością — zowie to twój szal!*

*Nadzieja pewne dobra ci zabrała —
Spaczeniem mści się twoich złudzeń błąd...
Przez sześć tysięcy lat, ach! śmierć milczała,
A kiedyś wyszedł duch z trupiego ciała,
By ci oznajmić Zagrobowy Sąd?*

„Rezygnacja” Szyllera.

(Przekład L. B.).

Co pewien czas na powierzchni prasy europejskiej z głębin kuźni wiecznie pracowitego „okultyzmu” wypływa wiadomość, że teraz już napewno „wybitny uczony”, „znakomity przyrodnik” przy pomocy „znanego i świetnego medjum”, „najdokładniej kontrolowanego” protokularyjnie stwierdził wizytę umarłych na tej ziemi.

Rozumiem doskonale, że sprawna prasa polska za przewodem wielkich dzienników zagranicy, pośród nudnych doszczętnie wywiadów z żywymi, dla radosnego odpoczynku czytelników, zniewoloną jest te zajmujące „rozmowy z umarłymi”, jako „najświeższe sensacje”, notować. Tedy i zanotowanie „autentycznej relacji dr. Tillyarda z niezwykłego seansu w Bostonie” p. t. „Żyjący mogą obcować z umarłymi” w Nr. 246 „Głosu Prawdy”, nie sprawiło mi zdziwienia. Ale redakcja zaopatruje rozsądnie ów artykuł znakiem zapytania: „Czy niesamowite wyniki tego seansu zdołają stworzyć dostatecznie nieodparte argumenty możliwości obcowania żywych z umarłymi?”

To nakazuje mi podjąć próbę rzeczowej odpowiedzi na to pytanie.

Obowiązek odpowiedzi jest tem bardziej na miejscu, że dr. Tillyard, „członek kilku instytutów naukowych”, oraz „jeden z najwybitniejszych uczonych angielskich” nie sięga w dowodzeniach pozazyciowego bytu naszych nieboszczyków do imponującej logiką argumentacji słynnego księdza Ségura:

„Najlepszym dowodem życia zagrobowego jest dawanie pieniędzy na mszę po umarłych, bo pocóżbyśmy modlili się za umarłych, gdyby nie kontynuowali oni swego istnienia poza grobem”. Dr. Tillyard czuje, że ten dowód, głęboko zresztą przekonywujący pigularza z „Hallucynacji” Licińskiego, który pragnąłby przez całą wieczność jeszcze robić pigułki poza grobem, nie jest wystarczającym dla naszej sceptycznej, owianej duchem zepsucia wolnomyślnego, inteligencji. On sięga do dowodów ściśle naukowych, których dotąd jeszcze nie mieliśmy, gdyż co do głosów z za grobu, na które powoływali się okultyści, mogły być niejaki wątpliwości — on już dostarcza nam dowodu niewątpliwego i „odcisków daktyloskopijnych nieboszczyka Stinsona”.

Otóż przedewszystkiem pragnę zwrócić uwagę czytelników na to, że Dr. Adolf F. Meyer, lekarz chorób nerwowych w Haarlem (Holandia) podjął benedyktyński trud przestudjowania wszystkich niezmiernie licznych protokołów, dotyczących zjawisk „materjalizacji” i „teleplastji”, dokonywanych z pomocą najśłynniejszych

CZYTAJCIE

TYGODNIK

„GŁOS PRAWDY”

medjów w rodzaju miss Florence Cook, Kattie King, Eusapji Palladino, Kate Fox itp., pod kontrolą niewątpliwie wielkich uczonych, jak Crookes, prof. Ch. Richet, lub podążający ich śladami, jeszcze ściślejszy w naukowej kontroli, Dr. A. v. Schrenck - Notring, już „najniewątliwiej” stwierdzających „możność obcowania z umarłymi”; i niestety! wszędzie stwierdził bądź, najczęściej umyślne, bądź, zrzadka mimowolne, oszustwo medjów, a niedewszystko uderzającą naiwność owych wielkich uczonych i kolosalne luki „najściślejszej” kontroli, których największa uczoność nie spostrzegła, ale odkrywał je zręczny kuglarz, o ile okultyści raczyli dopuścić go do seansu. Ciekawem jest, że sir William Crookes, oburzony na niewiarę antyspirytystów, w obronie panny Cooc występował z takim „naukowym” argumentem: „wolę wierzyć w materializację duchów, niż w to, że młoda, subtelnie czująca i niewinna panienka może oszukiwać poważnego uczonego”. Przynosi to zaszczyt jego 40-letniej niewinności większy, niż „bezinteresowności” młodzieńczego dziewczątka, mieszkającego pod jego dachem przez kilka miesięcy dla studjów nad „zagrobowością” i dobrze karmionego, wraz ze starszą damą, nieodzowną kierowniczką wszystkich seansów, również „bezinteresowną”, która później uwikłała się w brzydkie kryminalne sprawy.

Rozmiary artykułu nie pozwalają mi wchodzić w szczegóły tych braków kontroli, których nie odgadywały dziesiątki uczonych najlepszej woli, spraszanych na seansy, równie czujnych, jak Richet i Crookes i stwierdzających swemi podpisami „zdumiewające wyniki seansów”. Ale dla okazania, jak łatwym jest łudzenie się, nawet sceptycznych zrazu, uczonych, później przekonanych, przytaczam ciekawy fakt, podany przez Paula Heure w „Tajemnicach fakirow”.*)

Pewien farbowany na indusa fakir, pochodzący z Europy, ale doskonale ucharakteryzowany, rozgniewał się na francuskiego lekarza, przeczącego jego eksperymentom scenicznym, odgadywania myśli i zaproponował dokonać „cudu” w jego prywatnym mieszkaniu w najniezwyklejszych warunkach. Medjum zamknięte zostało na piątym piętrze w laboratorium. Lekarz wymienił fakirowi na parterze słowo: „lokomotywa”. Ten przeszedł się wokół lekarza z rękoma w kieszeni parę kroków — potem położył dłoń na jego ramieniu i rzekł: „już!” Lekarz sam poszedł na piętro, otworzył pokój zamknięty, znalazł medjum — to okrążyło go raz jeden, położyło dłoń na jego ramieniu i rzekło: „Lokomotywa”... Zdaje się, niema oszustwa! Lekarz ogłosił: „fakir przekonał mnie”. W lat parę potem fakir zrzucił maskę i publicznie ogłosił sekret cudu: napisał ołówkiem w kieszeni słowo zadane, na kartce, mającej klej na odwrocie — kładąc dłoń na ramieniu lekarza przykleił kartkę; medjum, obchodząc lekarza, przeczytało słowo i usunęło zręcznie kompromitujący dokument z ramienia”.

Któżby się tego domyślił, prócz fachowego kuglarza?

* * *

Omówmy rezultaty i metody seansu Tillyarda z medjum panią Grandon. Nie będziemy tak surowi, jak głos z „Rezygnacji” Szyllera, nie przeczymy nadziei milionów — zagrobowemu życiu. Ale czyż może być ordynarniejszy materializm od tego, który tkwi w spirytualizmie ludzi,

stwierdzających istnienie duchów „daktyloskopijnymi odciskami”. Niech sobie Dante w XIII wieku smaży „dusze” w kotłach i ziębi w lodowniach. Niech zabija duszom gwoździe za paznokcie! Niech widzi w piekle Mahometa, rąbiącego swoje ciało mieczem...

Ale co to znaczy, że w świetle epoki prawdziwych cudów, radja, samolotu, gramofonu, wizyj ekranu, „wybitny przyrodnik” wierzy w ostawianie się w pozaświecie palców z ich życiowym układem linii skóry?... Przecież od tego już niedaleko do oddawania płynu, pozostałego po duchu, do analizy i stwierdzenie zagrobowego życia zgodnością procentu białka i cukru z danymi ostatniej, przedśmiertnej analizy! Ślad nogi „ducha” oddamy do badania szewcowi dla stwierdzenia „plattfuss'u”. Twarz nieboszczyka przytuli się do twarzy kochającej siostry, pani Stinson, a ona stwierdzi, że nieboszczyk zmarł nieogolony i nie zdążył ogolić się za grobem, choć dosyć fryzjerów przyniosło się do lepszego życia.

Jakiż to dziw, że na miliony zmarłych od czasów czarownicy Endsorskiej, wywołującej ducha Samuela dla Króla Saula, tak niewielu nieboszczyków oddało nam wizyty, — że od roku 1853-go, gdy Europa zwarjowała na „stolikach wirujących” wzorem Ameryki, duchy nie mają nam nic innego do powiedzenia prócz tego, co mogą powiedzieć „stołowe nogi” — że tajemnicze „pukania w domu” pewnego dnia doprowadzają, według świadectwa kroniki kryminalnej, tylko do odkrycia tajnej gorzelni Szmula Rosenstraucha w piwnicy! I co za dziw, że Stinson powiedział nam tylko to, co widziała obecna na seansie jego siostra — nic więcej! Doprawdy duch ojca Hamleta, pomimo dyskrecji, był cokolwiek ciekawszy w rozmowie, przynajmniej stwierdził, że „goreje w ognach piekielnych”, o czym zresztą katechizm nie wątpił znacznie wcześniej od biedaka — ducha.

A teraz: czemu zawsze to *sine qua non* — dyskretne, „czerwone światło”, znacznie zimniejsze od białego, chociaż pono wszystko było w nim widać. Białego światła duchy się boją. Zjawia się ono dopiero po zrobieniu „odcisków na gorącym wosku” — jedynej właściwie roboty, którą duch Waltera Stinsona miał do wykonania na ziemi po śmierci!

Medjum siedziało „blade”. Wierzę w to — oszuści często błędną na myśl, że mogą być przyłapani. Ale ta bladeść w „czerwonym świetle” jest trochę dziwna. „Wargi p. Grandon były nieruchome”, gdy głos mówił. Ale nie poruszają ich i brzuchomówcy. Zresztą głosowi i p. Tillyard nie dowierzał — jemu chodzi o „palce”. Otóż jak czarodziejsko przewidującą była ta siostra, która po świeżej i naglej (w katastrofie) śmierci Stinsona zachowała jego brzytwę... z odciskami „na ostrzu” palców! Nikt jej nie ruszał — broń Boże! — ani lokaj, ani ona sama. Czekano z zabezpieczoną od dotknięć brzywą na palce ducha, aby kilku profesorów daktyloskopji „nie wiedząc o sobie” porównało chowane, jak świętość, odciski palców za życia z cudownymi odciskami palców po śmierci!... Stał Stinson — była lepka; ślady wyraźne!

Ale czyż można wątpić o prawdzie obcowania z umarłymi, skoro figlarz — duch zalał uczestnikom seansu spodnie gorącą wodą. Co prawda komuś z tych, co przy niepewnym czerwonym świetle „pod kontrolą Tillyarda, chwytającego klucz do pokoju w zaklejonej kopercie”, odbijał swoje palce na wosku i na brzytwie — ta gorąca nauczka bardzo się należała.

Nadmieniam, że w moich oczach — nie w czerwonym

*) Studja Hensego i Meyera ukazały się w polskim przekładzie L. Belmonta w „Bibl. groszowej”. (P. R.)

świecie, ale w jasnej bieli dnia — w restauracji pod najbardziej kontrolą moją i paru „uczonych” towarzyszy (skończyli uniwersytet) zwyczajny kuglarz za złotówkę podarł 20-złotową naszą asygnację, z zanotowanym przez nas numerem, poczem pokrajał wzięty z talerza nasz umundurowany kartofel i wyjął zeń tę samą asygnację

całą! Patrzyliśmy mu na ręce — i nie zauważyliśmy oszustwa. Myślę, że to była sztuka trudniejsza, niż wizyta Stinsona z tamtego świata!... Zresztą jeżeli kto, chce koniecznie gadać z umarłymi, to ja mu tym artykułem nie przeszkadzam!

Leo Belmont.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

MALARZE NA RYNKU

To, co oglądam teraz codziennie niemal w Warszawie, napędza mnie tak wielką, żywą, gorącą radością! Przydarzy się czasem coś tak oczywistego, coś tak w zacości i prostocie pokrzepiającego, iż prostota owa wytrąca nam niejako pióro z ręki.

Rzecz taka wydarzyła się i jeszcze trwa w życiu artystycznym Warszawy. Myślę o polichromji na Starem Mieście. O malowaniu wszystkich tych kamienic Starego Rynku. Jest to najpiękniejsza chyba dziś szkoła, żywa szkoła piękna i sztuki w stolicy. Szkoła dla wszystkich, z pożytkiem, z uciechą wszystkich połączona.

Przypuszczam, iż niejednego nauczyli się tam w praktyce i niejednego jeszcze uczą się panowie artyści: Borowski, Grabowski, Gronowski, Kamiński, Kowalski, Leonard, Ostrowski, Pękalski, Pronaszko, Rzecki, Stryjeńska, Szperber, Ślodziński. Ci wszyscy, którzy malują tam domy, przemalowują, poprawiają i znów jeszcze projekty swoje ulepszają. Dorwali się nareszcie do wielkiej praktyki, mają wielką, rzeczywistą, publiczność, ludzi, czasu i powietrza. Przedewszystkiem zaś mają wspaniałe uzasadnienie tej pracy w gruntownej pięknej potrzebie społecznej!

Cóż tu mówić? Malują miasto. Wszystkie nasze kłopoty, radości, sprawy, obchody, jubileusze, uroczystości, rozwijać się będą i przebiegać w ramach tych murów, w harmonji tych barw.

Sądzę, że serce rośnie w tych artystach, gdy pomyślą, że nasze dzieci, ich dzieci, wnuki, żyć będą w tej właśnie już, a nie innej tonacji murów starych, dzielnych, pamiętliwych, zasłużonych, a teraz właśnie taką oto pracą malarską odnowionych.

Wyobrażam sobie, jak cieszy się zacne Orocsko, — Artur Or-Ot, poeta Starego Miasta.

Koło fontanny mijają się, krzyżują ciągle, spotykają panowie artyści. Rzecz prosta: muszą chyba pilnować swej roboty i jej wykonania. Jeden, drugi stoi pod rusztowaniem, krzyczy, woła na drugie, trzecie piętro, że to źle, a to znów trzeba poprawić, a tu krzywo, a tam znów wyżej.

Odpowiadają im z rusztowania ich koledzy.

Fachowa terminologia, praca gustu, praca możliwości, praca wyboru artystycznego odbywa się publicznie w obliczu gawiedzi, gapiów, melomanów, słowem w obliczu tłumu.

I oto tu dotykamy drugiej strony tych pięknych

robót, oraz pomysłów: Rynek Starego Miasta jest dziś codzienną, najwierniejszą, piękną szkołą dobrego smaku, właściwego sposobu patrzenia. A wreszcie rozumienia, że dzieło sztuki powstaje z talentu i z pracy, że tworzy jedno jedyne zastosowanie harmonji, uzgodnionej ze swem przeznaczeniem, ze swą służbą i z sąsiednim dziełem.

Przyznać trzeba z najszczerzą radością, że tłumy gapiów, melomanów i wszelakiej gawiedzi ulicznej, korzystają ze szkoły malarskiej na rynku Starego Miasta w sposób przynoszący zaszczyt mieszkańcom Warszawy. Nikt nie przeszkadza, nie wchodzi w drogę, nie śmieje się z artystów, poubieranych w zachlapane kitle malarskie.

Powiem więcej. Każda dyskusja,wołana przez raźliwie donośnym głosem z pod fontanny, aż na drugie, trzecie, czy czwarte piętro, każda dyskusja artysty, kierującego pracą, z artystą, który działa na rusztowaniu, skupia szeroką gawiedź, nakazuje jej milczenie szacowne, wreszcie wydobywa z „ludu” różnicę zdań co do właściwości lub niewłaściwości umieszczania danej ozdoby, kartonu, czy rzeźby.

Doniosłość tych prac polichromicznych, dokonywanych obecnie na Starym Rynku, przekracza z pewnością najśmielsze nasze oczekiwania. Nic tak nie uczy miłości sztuki, a zatem miłości życia, jak widok pracy nad tą sztuką.

Z łakomstwem łazęgi, melomana, obiboka, Heroda, czy jak to nazwać, z łakomstwem wygi patrzę na dzieci, pętające się pomiędzy rusztowaniami budowl. Ileż uczą się teraz tu właśnie na tym Starym Rynku! A jeżeli wśród tych krzykliwych, jasnowłosych pętaczków jest jeden czy dwóch, którzyby posiadali zdolności plastyczne, — pomagamy tu teraz wspaniale, do przejścia drogi, która później kosztowałaby wiele lat tak ciężkiej pracy.

Z niejaką zazdrością spoglądam też na malarzy. Że tak to wszystko prosto postawili i przeprowadzili. A rzecz taką przeprowadzić, to sprawa nie bylejąka. Przecież to dotyczy domów, a domy — to nieruchomości, a nieruchomości — to hipoteka, a hipoteka — to rzecz pisana najstraszliwszą prozą świata, wobec której najtrudniejsze ustępy Kanta są romansem. Przecież to rynek, więc miasto, więc magistrat, więc kredyty, więc referenci, — więc ostatecznie labirynt!

Z zazdrością, że pomysł swój (St. Ostrowskiego) umieli tak zgodnie wcielić w życie. Chodziło o polichromję Rynku na Starem Mieście. I oto nie stało

się wcale, by część artystów-malarzy wystąpiła z projektem przeciw polichromji Rynku, a za odnowieniem innych jakichś zabytków. Umieli utrzymać jednolitość planu, umieli pogodzić się przy rozdziale roboty, umieli zgodzić się na wspólny termin. Co więcej: pracują obok siebie, łokieć o łokieć. Jedni szybciej, drudzy wolniej, jedni zapewne lepiej i pewniej, drudzy może gorzej. Sprobujcie jednak zapytać o całokształt tej pracy i o szczegóły i o indywidualne wykonanie danych domów?

Koledzy-malarze mówią wzajem o sobie z wzruszającą serdecznością. Jakgdyby każdy wspierał swym sądem drugiego, uwzględniał trudności, przewidywał zwycięstwa.

Widać, że praca w opornym materiale nasyci ich rozumem solidarności i koleżeństwa. Czy też może — praca w wielkim świetle pracowni i na powietrzu? Praca w obliczu ludu?

Literaci tworzą w zamknięciu, przy świetle okien, wychodzących na ciasne podwórka. Może dlatego tak trudno wśród pisarzy — o rozum solidarności?!

Juljusz Kaden-Bandrowski

ELEGJA

*Ach, za jaką, za jaką winę,
Przez to serce jedno, jedyne,
Nawiedzony miłością ginę?*

*Kto uciszy tę krew pod skronią?
Wszystko przez nią i wszystko o nią, —
Ach, te zęby tak drżą i dzwonią...*

*Oo czyniłem? Ozem zawiniłem?
Stałem się jeno mgłą i pyłem
Niemówiany w sercu miłem.*

*Śmierć po nocach mnie nęci do dnia,
Męki ludzkiej słodycz przewodnia,
Ach, bo miłość to wielka zbrodnia!*

*W jaką teraz mi płynąć stronę?
Gwiazdy zielone! Dni minione!
Płonę i nigdy nie ochłonę...*

*Gdzie jej szukać? Na jakim kresie?
Co mi życie i śmierć przyniesie?
Boże, Boże! Odezwiż się!*

*W ciemności płynę, płonę i ginę,
Przez to serce jedno, jedyne,
Ach, za jaką, za jaką winę?*

Jan Brzechwa.

LITERATURA A MUZYKA*)

Literatura i muzyka! zapewne zestawienie tych słów budzi w czytelniku podejrzenie, że chodzi tu raz jeszcze o celebrowanie związku dawno już za-

wartego, o mistyczne zaślubiny, które odbyły się na klasycznym Parnasie, a uznane zostały i w niebie chrześcijańskim. Zapewne, tak ogólne tematy muszą wiecznie pozostać kopalnią ogólników, szkolnych wypracowań („o pierwiastku muzycznym" w którymś z dzieł literackich!), nieustanną sposobnością zajęcia dla głów przez całe życie „szkolnych", do skrzętej pracy nad wykresami idei, sposobnością do kuchennych poszukiwań w sztuce, do robienia na wagę literatury o muzyce i do robienia z muzyki — literatury... Nie o to tu chodzi.

Czytając zagraniczne pisma muzyczne i książki, można na każdym kroku zauważyć, że małżeństwo literatury z muzyką nie jest ani historią ani mistyką, ale związkiem realnym, dziś może więcej, niż kiedykolwiek, realnym i w realne skutki błogosławionym. Widać np., że muzycy mają naogół wyrobienie literackie, smak i pewność w sądach; że kompozytorowie wybierają sobie tematy operowe bynajmniej nie naiwnie, że wiedzą, czego żądać od tematu, a czego od tekstu libretta; że naodwrot, powieściopisarz nie pisze bujnego nonsensu, kiedy dotknie tematu muzycznego; każdy publicysta podchwytuje też stale zjawiska muzyczne; poeci znają muzyczne walory wierszy, konstruuja nieraz przy pomocy kategorii zapożyczanych z techniki kompozycji muzycznej; eseisci wiedzą czem jest „jedność tematyczna" albo „przeprowadzenie motywu". Na każdym kroku wymiana, wzajemne zapłodnienie, wspólność dążeń, w razie wielkich sporów jednolite fronty, podobne wreszcie terminy techniczne, równoległe zagadnienia, braterstwo warsztatów. Nie tylko wspólne frazesy i wspólna kawiarnia.

Ani mistyczny związek, ani współwegetacja, tylko normalne małżeństwo — Zdarzają się, zapewne, i mezalianse. Takimi były np. melodramaty, do którego jeszcze zapalił się J. J. Rousseau, albo niejedno zbyt literackie przesubtelnienie muzyki.

O życiu literacko-muzycznym może być mowa, jeżeli społeczeństwa literatury i muzyki nie są odosobnione; jeżeli ci, co słuchają, albo praktykują muzykę nie są odrębnym światkiem zawodowców „melomanów", a ci, co czytają i kupują książki beletrystyczne nie są wyposażeni wspaniałą dla muzyki obojętnością. U nas te światy stoją trochę obok siebie, niewiele się sobą wzajemnie interesują. Czasem jakiś mecz polemiczny zainteresuje sąsiednią trybunę...

Nie chodzi też tutaj o odsłonięcie jakiegś nowego „bolączki" ani o pocieszenie zapomocą krasomówczego optymizmu, tylko o pokazanie jak w wyrobionych stosunkach artystycznych publiczność literatury i muzyki tworzą dwa, w części nakrywające się koła, jak normalny literat ma jakieś minimum wykształcenia muzycznego i nie oddziela się od świata muzycznego strefą neutralną, jak wreszcie ciekawe jest — mówiąc słowami gry towarzyskiej — to, „co z tego wynikło".

szczyh ram pracy, wykazała, że artyści dość pobieżnie znają dziedziny pracy swych kolegów. By zapobiec brakom w tej dziedzinie i wzmocnić związek poszczególnych sztuk rozpoczynamy cykl Literatura a Muzyka, po którym drukować będziemy z kolei — Literatura a Plastyka.

*) Rozpoczęta przez Wł. Skoczylasa w Klubie Artystycznym akcja artystów wszystkich fachów o wywalczenie szer-

Słyszysz się nieraz o trudnym stanowisku naszej muzyki, o tem, że źle jej powodzić się musi(?) w kraju rolniczym. Rosja też była krajem rolniczym, a muzyka w niej kwitła. To też powodzenie konkursów hippicznych nie powinno jeszcze napełniać muzyka melancjolą. Bernard Shaw twierdzi, że niebo i piekło, kwartety smyczkowe i wyścigi — każde ma „swoją publiczność”; niema prawa któreby zabraniało jednym uczęszczać na widowiska względnie audycje drugich, a jednak publiczność jest tu i tam inna. Nie widać też potrzeby, aby koncerty kameralne koniecznie zabiegać miały o członków Klubu Myśliwskiego, albo, aby wystawą psów interesowali się znawcy Brahmsa. Śmieszne jest wreszcie to biadanie, że cyrk ma więcej publiczności niż Filharmonja. Zazdrościć tylko można cyrkowi i stadjonowi, że ich publiczność zna się na pokazach, zabiera głos, umie się upomnieć o swe prawa. Nasze koncerty symfoniczne odbywają się zato przed garstką przeważnie zawodowych muzyków, stale brak na nich literatów (z niewielkimi wyjątkami kilku, których imiona powinny być wypisane na marmurowej tablicy).

Literaci niemuzycalni może nie wiedzą, że chodzenie stale na koncerty, w przeciągu jednego, dwóch sezonów zamienić może nawet niemuzycznego człowieka na zainteresowanego słuchacza, że stąd może powstać podnieta, może nawet ciekawsza niż najinteligentniejsze rozmowy w Zakopanem i w Astorji...

Francuski literat wie doskonale, że bojkotowanie muzyki przez niego może dać przewagę jego konkurentowi obznajomionemu w muzyce. Zjawisko jak: czytani muzycy i umuzykalnieni literaci, na tle towarzystwa, obustronnie wykształconego — warte jest przynajmniej aby mu się przyjrzeć. Warte dlatego przedewszystkiem, że i ono nie powstało odrazu, ale szło długą, uciążliwą drogą i — nawet w Niemczech i Francji — nie doszło jeszcze do ideału.

Jeszcze dziś żyją świadkowie pierwszego wykonania Tanhäusera w Wielkiej Operze paryskiej. Było to fiasco, zupełne — historyczne fiasco! W parterze siedzieli członkowie Jockey Clubu, którzy — gwizdali na kluczach! Sławny feljetonista Jules Janin proponował dla tych rycerzy godło heraldyczne: *sifflet sur champ de gueules* — gwizdawki w (powiedzmy;) paszczy.

Baudelaire i inni runęli w artykułach dziennikarskich na wykwinnych klubowców, którzy mieli smak zachowawczy, a w drugim akcie musieli mieć „swoją” balet, nie zaś jakiś uroczysty i przydługi turniej śpiewacki. Ingerencja sportowców w sprawy „muzyki przyszłości” stała się jednak odtąd ostrożniejsza, ograniczyli się oni do tradycyjnych dziedzin swego znawstwa; baletu, koloratury... A kto walczył dalej o Wagnera? — Literaci: Schure, Catulle Mendes. Wyzewa-Wyżewski i inni; kto potem zaprotestował przeciw zalewowowi wagnerjanizmu w Paryżu — Debussy, najbardziej literacki z muzyków. Sojuszowi w walce odpowiadała stała i dawna zażyłość oparta przedewszystkiem na wspólności interesów artystycznych.

Stosunek literatów do muzyki i muzyków do literatury musi tworzyć się tam, gdzie ruch intelektualny i artystyczny jest żywy i ani na chwilę nie zamiera. Ruch, to znaczy: publiczność, czynna, a więc przetwarzająca materję artystycznej podaży. Publiczności wolno się mylić, mieć sądy spóźnione. Ale bierne, bezradne, zdeзорjentowane, stadko ludzkie jeszcze nie jest publicznością, zdana na jego środowisko, sztuka działa w próżni i może łatwo znaleźć się w świecie oderwanym, w którym przeciętne talenty jałowięją, a wybitne bronić się muszą przeciw jednostronnej intelektualizacji. Tu godom literatury z muzyką grozi — w najlepszym razie platoniczność.

Francuscy encyklopedyści pierwsi stworzyli wielki ruch intelektualny, który, jeżeli nie porwał jeszcze muzyki, to w każdym razie wciągnął ją w zaszczytny krąg — filozofji. I to już było coś warte. Dotychczas muzyka nosiła piętno muzykanctwa, żyła z łaski dworów, gdzie mechanicznie kojarzono ją z teatrem. Diderot przyznał muzyce równouprawnienie z innymi sztukami, ale chwilowo ta nobilitacja była teoretyczna tylko, bo Encyklopedia widziała w muzyce raczej tylko środek propagandy filozoficznej.

Przyszedł we Francji czas romantyzmu, którego szczególnem znamieniem była jego — niemuzyczność! Romantyzm, słowo, które już dawno w Niemczech było pojęciem conajmniej równie muzycznym jak literackim, romantyzm oznaczał we Francji na razie tylko retorykę dramatu. Jeżeli dwa narody spierają się w ostrej walce ze sobą o to, czy słowo kultura ma być pisane przez *k*, czy przez *c*, to — dla uniknięcia podobnych konfliktów — trzeba stwierdzić, że *le romantisme* a *die Romantik* są pojęciami określającymi dwa zjawiska odrębne, nawet niezupełnie równoczesne. Pewnem jest tylko, że z początkiem XIX-go wieku muzyka i poezja stały obok siebie, podają sobie ręce i szukają wspólnych dróg, dla dzikich, fantastycznych i rozkosznych przechadzek.

Romantyczny Paryż jest przedewszystkiem muzyczną metropolą i w tem właśnie tkwi upośledzenie jego rodzimej muzyki. Cóż z tego, że rewolucyjny teat ma według Gretryego „w jednej ramie zjednoczyć wszystkie sztuki”, kiedy wielkie opery piszą w Paryżu cudzoziemcy: Włosi z Rossinim na czele, którzy przygotowują erę Meyerbeera! A Francuzom pozostaje względnie skromna specjalność: opera komiczna. Berlioz — ekscentryczny, literacki — biada, że na miejscu niema publiczności — niemieckiej!

Ale i w Niemczech zbliżanie się muzyków do literatów napotyka na trudności. Wieland przechodzi obok Mozarta bez zainteresowania; Goethe widzi w Beethovenie przedewszystkiem niesforą osobistość, dla jego muzyki ma więcej respektu niż czuje zrozumienia; Schubertem, Goethe nie interesuje się zupełnie, a napisanie muzyki scenicznej do „Fausta” powierza Antoniemu ks. Radziwiłłowi, którego uważa za bardzo wybitnego kompozytora. Operowych tekstów dostarczają Gluckowi i Mozartowi przeważnie jeszcze nie poeci ale praktycy-libreciści włoscy; naiwny Beethoven wybiera sobie na tekst

opery, francuskie, konwencjonalne, sztuczność z „cudownym ocaleniem”; Weber po szczęśliwym chwycie libretta „Wolnego Strzelca” grubo myli się w wyborze libretta do „Euryanthy”; Schubert w wybieraniu tekstów operowych jest naiwny jak dziecko.

A więc cała opera klasyczna tkwiła w literackim prymitywizmie, dobrze, jeżeli dane jej było zbliżenie się do praktyki teatralnej.

Dopiero Wagner radzi sobie radykalnie: jest poetą i kompozytorem w jednej osobie. To jest rozwiązanie najpraktyczniejsze, ale w praktyce rzadkie. W gorącej głowie Wagnera muzyka dyskutuje z literaturą, namiętnie, oryginalnie — powstaje szereg teoretycznych prac Wagnera, niby kontrola intelektu rewja własnych sił, przegląd władz przed wielkimi czynami scenicznymi, które wymagają już idealnej harmonii literatury z muzyką.

K. Stromenger.

NA MARGINESIE

Nad czym pracują? Młody debiutant Szulc-Rymkiewicz (laureat konkursu Wiad. Literackich) ma niebawem wystąpić z tomem nowel. Wołoszynowski wydaje w Poznaniu u Wegnera swą powieść o Słowackim. Lechoń wykańcza tom poezji, z którego poszczególne wiersze ukazują się w piśmie (piękny Byron — w Tygodniku Ilustrowanym). Nałkowska wydaje u Gebethnera „Niedobrą Miłość”, równocześnie pracuje nad cyklem nowel więziennych (osnutych na tle stosunków więziennych). Słomski złożył komedję p. Szyfmanowi, która ma pójść w Teatrze Małym, równocześnie autor Wieży Babel pracuje nad powieścią ze stosunków żydowskiego mieszczaństwa. Wierzyński z godnym uporem wykańcza pierwszą swą prozę (tom nowel), równocześnie zaś kończy nowy tom poezji. Kuncewiczowa utworzyła już pono plan nowej swej powieści, Broniewski pisze powieść z życia wielkiego działacza i bohatera Waryńskiego, Wat ma już w szkicu zarysy swej powieści psychologicznej, Ejsmont pisze drugi tom swych opowiadań „W puszczy” (II-gie wydanie w Puszczu ukazać się ma niebawem) Goetel wykończył ostatecznie swego Zborowskiego (dramat), Pomirowski pracuje nad drugim tomem krytycznym (Doktryna a Twórczość), w którym ma zająć się obszernie poezją współczesną polską, Krzywoszewski napisał nową komedję, Sieroszewski wykańcza swego Twardost-Twardowskiego, skarży się, że zajęcia społeczno-reprezentacyjne nie dają mu pracować w Warszawie i że lada dzień ucieknie z miasta.

Więckiem, Konopacką, Wierzyńskim Szoslandem i Antoniewiczem, naszej popularnej literatury, o ile chodzi o rekord poczytności, jest wciąż jeszcze autorka Dzikuski i Jawnogrzesznicy, Irena Zarzycka. Dzikuska rozeszła się już w 50.000 egzemplarzach, Jawnogrzesznica w przeciągu niespełna trzech tygodni w 10.000 egzemplarzach. Rekord — niezdobyty dotąd w Polsce ani przez Mickiewicza, ani przez Sienkiewicza i wogóle przez nikogo.

Nasi księgarze zasadniczo widać stronią od najszlachetniejszej odmiany handlu księgarskiego, t. j.

od bibliofilstwa. Nie chcą handlu tego pobudzić nawet kosztem kilkudziesięciu, czy stu kilkudziesięciu złotych. Aby tylko wszystko było i pozostało, jak za dawnych czasów. Pisaliśmy już o tej sprawie niejednokrotnie: Dlaczego przy edycji nowego dzieła nie próbuje się wydać kilkudziesięciu egzemplarzy numerowanych na papierze czerpanym? Bodaż pięćdziesiąt. W Polsce jest jednak z pewnością więcej bibliofilów. We Francji liczba egzemplarzy bibliofilskich dochodzi do dwóch i do trzech tysięcy egzemplarzy. Dzięki nim właśnie książka staje się przedmiotem trwałym (świetny papier, druk) przedmiotem stosowanej sztuki.

U nas sprawy te leżą wciąż jeszcze odłogiem. Ostatnio wydał w Wilnie p. Jerzy Remer swą Pochwałę Miasta w odbitce bibliofilskiej (sto egzemplarzy). Pełna entuzjazmu dla Wilna rozprawka p. Remera, z bibliofilskiego punktu widzenia ma znaczne braki: Nieharmonijnie ułożona kolumna, czcionki grube, przeświecające przez stronicę, A przecież Wilno umiało i umie bardzo pięknie drukować?!

Z pośród wielu ostatnich wydawnictw księgarni F. Hoesicka wysuwa się na czoło powieść Tadeusza Ulanowskiego p. t. Doktor Filut. Rzecz tę omówimy niebawem, zaznaczając na razie, że na tle powieści naszej aktualnej, naogół słabej, lękliwej, nieokreślonej, przekonaniowo mdłej, „Doktor Filut” Ulanowskiego sprawia wrażenie wyjątkowe. Autor stoi po szyję w strumieniu aktualności życia, wykazuje znaczne doświadczenie w polityce i w sprawach społecznych. Posługuje się lekko i nader zręcznie olbrzymiem czytaniem, co nie przeszkadza ani wierszowi pisarskiej, ani śmiałości, zdrowemu humorowi. Odkładając na później fachowe omówienie powieści, nie możemy powstrzymać się od wyrażenia uczuć radości, jaką sprawia ta książka, pełna doświadczenia, wigoru i mądrej wesołości.

Pozytywizm i Idealizm w badaniach literackich, oto tytuł małej rozprawki zdolnego młodego teoretyka B. Suchodolskiego, drukowanej, jako artykuł wstępny we wrześniowym numerze Ruchu Literackiego. Suchodolski rozprawia się z dwiema metodami badań: pozytywistyczną, nie uznającą swoistości dzieła sztuki, rozkładającą dzieło na elementy, oraz z metodą idealistyczną (indywidualny związek zawartości i kształtu artystycznego). Suchodolski przechyla się całą mocą argumentów i zapału na stronę tej drugiej metody (idealistycznej). Jesteśmy po jego stronie, ciesząc się, że Ruch Literacki daje się wypowiadać młodym na naczelnym miejscu, oraz, że p. Suchodolski tak wydatnie posunął naprzód porządek swej argumentacji i jasność jej wystawienia.

W tym samym numerze „Ruchu Literackiego” znajdujemy pierwszą próbę sumiennej bibliografii pism St. Przybyszewskiego, dokonaną przez p. Kazimierza Czachowskiego.

Znakomity pisarz żydowski Józef Opatoszu w podróży swej po Europie zatrzymał się w Warszawie, w związku z pracami nad filmem, nakręcanym z pięknej książki „W lasach polskich”, Opatoszu. W „Lasach Polskich”, tłumaczonych już na liczne języki europejskie, stanowi część wielkiej trylogii Opatoszu, na którą składają się: W Lasach Polskich,

Rok 1863 i ostatnia część traktująca o życiu polskiem przez okres pozytywizmu aż do 1912 roku.

Wielki pisarz żydowski, fanatyczny wielbiciel Norwida i Wyspiańskiego, mimo, iż od wczesnych lat młodości (ukończył inżynierję w Północnych Stanach) przebywa w Ameryce, nie utracił kontaktu z literaturą polską. Zna doskonale naszych pisarzy współczesnych, jest gorącym zwolennikiem i propagatorem Brzozowskiego zagranicą, interesuje się przejawami naszej myśli krytycznej, łącznie aż do Zarazy w Grenadzie Millera. Ostatnio zawarł Opatoszu umowę co do przekładów swoich na język rosyjski w Moskwie. W podróżach swych przez Europę zatrzymuje się zawsze w Polsce i zawsze odwiedza swe miasto rodzinne t. j. Mławę.

O ile wiemy, niebawem mają się ukazać przekłady polskie Opatoszu pod ostateczną redakcją L. Staffa; spodziewać się więc należy, że przekłady te odpowiadać będą poziomowi pięknej prozy Opatoszu, która doczekała się artystycznych przekładów niemieckich, holenderskich i angielskich, u nas zaś trafiała dotąd na bardzo nieudolnych tłumaczy.

jkb.

NOWOŚCI FRANCUSKIE

W roku bieżącym ukazały się w Paryżu trzy powieści, których głos brzmi jak krzyk rozpacz i wyrwa się z ogólnej harmonii banalnych lub gładkich „romans” — bolesnym zgrzytem.

Jednym z autorów, to *François Mauriac*, którego ostatnia powieść „*Destins*” (Grasset) była omówiona na tymże miejscu przez J. Czapskiego.

Drugi, o którym chciałabym dziś wspomnieć, to *Julien Green*, autor „*Adrienne Mesurat*” (Plon), a trzeci, *André Thérive*, autor „*Sans âme*” (Grasset), książki która zwróciła na siebie ostatnio powszechną uwagę.

Fabula tych powieści nie różni się od innych fabuł, bo niema na świecie nic nowego, a wszystko zależy tylko od oka obserwatora.

W pierwszej, to kobieta, która w twardym życiu spełnionej powinności nie zaznała czaru miłości, nie spočuła nigdy na drogiem ramieniu i którą świadomość ta opanowuje u progu starości.

„*Adrienne Mesurat*”, to dzieje młodej dziewczyny, więzionej przez ojca egoistę w willi prowincjonalnego miasteczka; dzieje kobiety, której wrodzona energia i siły młodości, skazane na bezczynność w ciasnym kółku, zakreślone wola złego starca, obracają się przeciw niej samej, pchają ją do zbrodni i szaleństwa. W końcu Julien Lepers, bohater „*Sans âme*”, włóczący po Paryżu swoje puste życie bez celu i wiary, który obserwuje tłumy innych ludzi, spotykanych w kawiarniach, na ulicach i w kinach, takich, którym jest *dobrze żyć* w cuchnącem podwórku swych małych trosk i radości, którzy nie szukają rozwiązania zagadki swego bytu i nie zaglądają w tajemniczy cień, kryjący się za murami cmentarzy — jednym słowem, ludzi „bez duszy”.

Julien spotyka w tem ludzkim stadzie jedną „duszę”, małą tancerkę, występującą w trupie olbrzymiego music hall'u, dziewczynkę, podobną do wielu innych, a jednak inną.

Julien zdobywa Lydję, która jemu jednemu nie

chciała oddać swego ciała, bo jego jednego kochała; a przecież to ciało było pastwą tylu innych obojętnych oczu w oślepiających blaskach scenicznej rampy.

Stało się. Lydja odeszła na zawsze. Taka była umowa. Lucien po pięciu miesiącach odnajduje ją w podrzędnym hoteliku — konającą.

Wszystkich trzech autorów łączy, pomimo ich różnic, jedna nić. We wszystkich trzech powieściach brzmi nuta buntu przeciwko powszedniości istnienia.

Wszyscy trzej ujawniają tajemnicę głęboko ukrytą na dnie duszy i w cieniu dostatnich will tego narodu, zaskakującego swą tężyzną życiową i zdyscyplinowaniem, a w szerokich swych masach tak głęboko zmaterializowanego.

Mauriac jest katolikiem, ale przez samych katolików pomawiany jest o herezję jansenizmu. Widzi on zło w istocie samej ludzkiego bytu, stąd tragizm śmiertelny, który ciąży na nim i negacja wszystkiego. Istotę życia widzi w miłości fizycznej, miłość uznaje za grzeszne pożądanie, źródło wszelkich klęsk i utrapień, osądzone przez kościół chłodny i skostniały w bezruchu.

Stanowisko Mauriac'a jest zupełnie beznadziejne.

Green, również katolik, z otoczenia Jacques Maritain'a, doprowadza konsekwentnie materializm drobno-burżuazyjnej rodziny francuskiej do katastrofy.

Willa p. Mesurat za żelaznemi sztachetami i skąpy starzec, w którego sercu zanikły nawet ojcowskie uczucia, to niestety dość pospolite zjawiska. — Kult cielca złotego w krótkim czasie pochłania wszelkie inne nabożeństwa — i zaskakująca jest szybkość, z jaką sympatyczny francuski robotnik, żyjący z dnia na dzień, przeistacza się w „bourgeois”, osiadłego w szczelnie zaryglowanej i strzeżonej przez złego psa, willi.

Poza sztachetami, za którymi więżą dziewczynę, mieszka doktor, człowiek wierzący, miłosierny i chorowity, strzeżony przez siostrę, złośliwą dewotkę. U niego znalazłaby może Adrienne ratunek w swojej duchowej kłęsce, ale i tę jedyną nadzieję niszczy wrogie okoliczności. Oszalała ze strachu dusza Adrienne niema się formalnie o co zaczepić, i umysł jej mąci się — pęka napięta nić świadomości...

Niktby się nie domyślił w p. André Thérive, młodym człowieku o kędzierzawej czuprynce, rumianej cerze i lekko ironicznym uśmiechu tak głębokiego pesymizmu. Poza wielkiem stadem bezdusznej ludzkości, która niestety przeważa, czy to na tak zwanych „szczytach”, czy „niżach” społecznych, jest ten procent szukających i tęskniących — za czem? Za jakąś wiarą, nadzieją, za kultem, obrzędem, kościelnością — za jakąś, jednym słowem, *religią*. I tu autor wykazuje, jak daleko naród francuski odszedł od kościoła katolickiego.

Dusze stęsknione szukają wiecznych prawd na innych drogach, w przeróżnych zaletach, zdegenerowanej mistyce i ułamkach jakiejś wiary, której się czepiają z rozpaczliwym uporem.

„Jeżeli następny pociąg nadejdzie z lewej strony, to znaczy, że dusza jest nieśmiertelna” — powiada sobie w pewnej chwili Lucien.

W tej samej chwili krzyżują się dwa pociągi, idące z dwóch stron przeciwnych.

I w tej dwojakiej, czy też sprzecznej wyroczni brzmi ostatnie słowo pesymizmu autora.

Paryż. Wrzesień 1928 r.

M. Czapka.

ADAM GALIŃSKI.

MŁODA POLSKA

Poezja. Dramat. Antologia. Literatura. Podręcznik literacko-metodyczny dla szkół średnich i samouków. Łódź, Księgarnia Karola Neumüllera, 1928, str. XII i 302.

Adam Galiński podjął, jak sam mówi, „próbę stworzenia podręcznika, obejmującego ten okres literatury polskiej, który dotychczas pomijano przy nauczaniu literatury w szkole średniej”. Próbę tę powitać należy radośnie. Ułatwi bowiem pracę nauczycielstwu, które często, (szczególniej na prowincji), wbrew najlepszym intencjom, bezsilnie opuszcza ręce wobec piętrzących się przeszkód przy zaznajamianiu młodzieży z literaturą schyłku dziewiętnastego i początków dwudziestego stulecia. Tymczasem, jak wykazała chociażby żywa dyskusja, toczona na łamach „Głosu Prawdy Literackiego”, młodzież szkolna pragnie wyjść poza przepisowe ramy programu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pragnie poznać bliższe jej, współczesne przejawy życia literackiego Polski i Zachodu.

„Młoda Polska”, obejmująca twórczość Tetmajera, Żuławskiego, Rydla, Micińskiego, Staffa, Kasprówicza i Wyspiańskiego, w dużej mierze posuwa naprzód dzieło tego poznania.

Adam Galiński nawiązuje do pozytywizmu, zwięźle i jasno podając przyczyny uwiadu jego haseł. Następnie zaś, wychodząc ze słusznego założenia, że modernizm „trudno oderwać od wpływów zachodu”, omawia istotę symbolizmu francuskiego i twórczość jego głównych przedstawicieli, aby później przejść do etapów rozwoju nowych prądów w literaturze polskiej. Rozdział „Walka starych z młodymi”, w którym autor zebrał artykuły zwolenników i wrogów haseł „Życia”, daje niezmiernie ciekawy obraz starcia, będącego, począwszy od zmagania romantyków z klasykami, chem w rodzaju instytucji obywatelskiej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Do najlepszych w książce należą stronicę, poświęcone twórczości Kasprówicza i Wyspiańskiego; na szczególne zaś podkreślenie zasługuje uwzględnienie, pomijanej zwykle w szkołach, twórczości Tadeusza Micińskiego i trafny wybór pomieszczonych tu wierszy. Zakwestjonować jedynie należy zwrot w rodzaju: „poza utworami młodzieńcami, coś trzy dramaty...”, gdzie „coś” brzmi nieco lekceważąco, a więc niewłaściwie w odniesieniu do autora „Kniazia Potiomkina”. Dramaty Micińskiego słusznie zostały pominięte w książce o tem przeznaczeniu, co „Młoda Polska”, lecz nie należało mówić o nich takim tonem.

„Młoda Polska”, będąc równocześnie antologią poezji polskiej po roku 1890, jest podręcznikiem literacko-metodycznym dla szkół średnich i samouków. Zachodzi tu właśnie pewna kolizja między potrzebami uczniów, a samoukami. Wnikliwa analiza problemów ideowych poszczególnych utworów, artykuły historyczno-literackie, omawiające zagadnienia treści i formy, oraz syntetycznie ujmujące całokształt dorobku literackiego twórców epoki modernizmu, są równie pożyteczne dla uczniów szkół, jak i samouków. Pytania jednak, umieszczane niekiedy w końcu omawianych utworów, choć ich jest nierównie

mniej niż to ma miejsce w literaturze Komarnickiego lub Kridla, a które bezsprzecznie ułatwiają pracę samoukom, są zbyt ciężkim balastem, nawet wręcz przeszkodą przy współpracy nauczyciela z uczniem.

„Młoda Polska” Galińskiego, jak książki Balickiego i Maykowskiego, oraz „Sympozjon” Adamczewskiego, jest niezmiernie cennym objawem troski światłych i powołanych jednostek o poziom kulturalny podręczników szkolnych, a zarazem rękojmią umiłowania języka i literatury ojczystej przez młode pokolenia.

Gabryela Pauszerówna.

NAD KSIĄŻKĄ

Najnowsze prądy umysłowe Zachodniej Europy. — IV. O. Halecki. Niemcy. Wydawnictwo Koła Historyków S. U. W. Warszawa 1928.

Dobry pomysł miało Koło Historyków Uniwersytetu Warszawskiego, wydając cykl publikacji na temat: „Najnowsze prądy umysłowe Zachodniej Europy. Po ciekawych rozprawkach prof. Handelsmana o Francji, prof. Manna o Italji i prof. Tretiaka o Anglii, ukazała się ostatnio czwarta z kolei książeczka, a mianowicie rzecz prof. Oskara Haleckiego o najnowszych prądach umysłowych w Niemczech. Rzecz jest tem ciekawsza, że, jak stwierdza sam autor, nawiązawszy w ostatnim dziesięcioleciu kontakt z kulturą łacińską, francuską zaś w szczególności, spuściliśmy niemal z oczu to, co dzieje się w Niemczech, a przecież z różnych względów powinniśmy trzymać rękę na pulsie życia naszego zachodniego sąsiada.

We Francji, a następnie w Niemczech pozakładano już przy uniwersytetach specjalne katedry nauki o zagranicy, które są niejako punktami obserwacyjnymi całokształtu życia kulturalnego w innych państwach. U nas jeszcze tego nie uczyniono, to też wydawnictwo Koła Historyków, chociaż częściowo i jednorazowo informujące kulturalną publiczność o ruchu umysłowym zagranicą, zasługuje na uwagę i uznanie. Przejdźmy jednak do książki prof. Haleckiego.

Znakomity historyk daje nam w swoim szkicu przekrój życia duchowego Niemiec współczesnych, ukazując jak przedstawia się ono w różnych dziedzinach. Ciekawe i pouczające jest m. in. zwrócenie przez prof. Haleckiego uwagi na konflikt między centralizmem a federalizmem, który to konflikt zdawał się jeszcze niedawno przybierać w Niemczech dość ostre formy. Kwestja ta, pozornie politycznej natury, wiąże się przecież z istotnymi sprawami kultury, uwidaczniającymi się w problemacie regionalizmu. Niemcy mają jednak szczęście. Wypadkowa, będąca wynikiem konfliktu, jest złotym środkiem, tem trwałszym i korzystniejszym, że wynika ze starcia sił naturalnych. Regionalizm niemiecki jest uwarunkowany historycznie, centralizacja zaś opiera się na mocnym poczuciu jedności rasowej, a nie na związku formalno-biurokratycznym.

Skutki takiego stanu rzeczy mogą być, oczywiście, tylko dodatnie.

„Na wspaniały rozwój nauki niemieckiej — mówi prof. Halecki — niewątpliwie wpłynęła nietylko

wielka ilość uniwersytetów, ale i to, że każda z tych wszechnic, mimo wędrówek profesorów i studentów z jednej do drugiej, zachowała swój oryginalny typ, ściśle związany z krajem, gdzie powstał, tak że nie dalby się wprost pomyśleć w innej części Niemiec". To też Niemcy z dużym zrozumieniem odnoszą się do odrębności regionalnej swych poszczególnych krajów, co znalazło ostatnio m. in. wyraz w reformie szkolnictwa niemieckiego.

Ciekawe są spostrzeżenia prof. Haleckiego, dotyczące zmian w nauce niemieckiej zwłaszcza w dziejopisarstwie, które przed wojną szło w kierunku analizy; nauki historyczne, obciążone przytem jak kula u nogi, postulatami ścisłości metodycznej, cechą tak charakterystyczną dla Niemców, nie mogły wywierać większego wpływu na społeczeństwo. Dzisiaj myśl niemiecka poderwała się, usiłując na skrzydłach syntezy, przy pomocy różnych koncepcji filozoficzno-historycznych objąć ogół dręczących pokonane Niemcy zagadnień. Usiłowania podobne znalazły szeroki odzew w najszerzych warstwach społeczeństwa, przykładem czego służyć może niebawem pochyty głośnej książki Spenglera.

Żałować należy, że w publikacji swojej prof. Halecki nie wspomniał, jak się tendencje umysłowe współczesnych Niemców wyraziły w sztuce i literaturze niemieckiej, trudno jednak wymagać od specjalisty historyka, aby wkraczał na tereny wszystkich dziedzin życia kulturalnego.

Powieści historyczne Kraszewskiego: „Lubonie” — „Bracia Zmartwychstańcy” — „Masław”. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1928.

Jeżeli Niemcewicz swoimi „Śpiewami historycznymi” spopularyzował w swoim czasie najważniejsze momenty historii polskiej, to Józef Ignacy Kraszewski był pierwszym pisarzem, który niby wędrowiec niestrudzony wszedł w dziewiczy las dziejów Polski, by w artystycznej wizji, rzucać jeden po drugim obrazy życia, ludzi i zdarzeń wszystkich po kolei epok historycznych. Gigantyczny pomysł ujęcia w wielkim cyklu powieściowym dziejów Polski od czasów pogańskich aż do XVIII wieku powziął Kraszewski w roku 1876 i wykonał go w ciągu lat dzieściu. Owocem tej niezwyklej pracy było 28 powieści w 79 tomach. „Stara Baśń”, „Lubonie”, „Bracia Zmartwychstańcy” i „Masław” — to początek tego olbrzymiego cyklu.

Niema w tych powieściach koncepcyj niezwyklej, genialnych, niema również bohaterów, którzy mogliby imponować głębią swej indywidualności lub istotnym bohaterstwem swych czynów lub zamierzeń. Historyczna powieść Kraszewskiego pociąga swoistym egzotykiem i kolorytem czasów zamierzchłych, opartym na gruntownej znajomości historii i historii kultury materialnej i duchowej. Z niesłychaną systematycznością, i benedyktyńską pracowitością zbierał Kraszewski materiały do swych dzieł, dając im podstawy mocne i rzetelnie przepracowane. Pomimo niezawsze dostatecznie przemyślanej kompozycji, umie Kraszewski zainteresować mocno czytelnika, pociągając go skomplikowaną intrygą, żywym dialogiem, barwnym i plastycznym opisem, a nieraz i wzruszyć napięciem uczuciowym, jak np. w pełnej tragizmu przedostatniej scenie z „Masława”, gdzie z dramatyczną siłą przedstawi głębię uczuć bólu i rozpacz matki nad

zwłokami powieszonego syna, Masława. Czasem wplecie znów w tok opowiadania stare podanie lub legendę. Tak np. w „Braciach Zmartwychstańcach” znajdujemy piękną historję o Walgierzu Wdałym, którą później także Żeromski w prozie swej przepracował.

Stylu oryginalnego Kraszewski nie stworzył, ale dzieła jego tchną dobrą, piękną polszczyzną, jakiej nie jeden z współczesnych literatów mógłby autorowi „Starej Baśni” pozazdrościć.

Pomysł wydania powieści Kraszewskiego można przyjąć tylko z uznaniem. Nadmienić trzeba, że wydawcy zdobyli się przytem na dość śmiały i bodaj że trafny pomysł, a mianowicie, nie chcąc zniechęcić szerokich rzesz czytelników zbytnią rozwlekłością niektórych dzieł Kraszewskiego, wprowadzili w niektórych utworach pewne zmiany redakcyjne i skróty. Pozatem w zamierzonym cyklu powieści historycznych pominięto pewne dzieła, zastępując je innymi utworami historycznymi Kraszewskiego, wyżej stojącymi pod względem artystycznym. W zewnętrznej szacie wydawnictwa widać troskę i staranność. Okładki Jagodzińskiego ładne, w pomysłach dostosowane są do zawartości każdej książki. Druk i papier, jak na wydawnictwo popularne, nie wymagają zastrzeżeń. Całość wydawnictwa przedstawia się schładnie i estetycznie.

M. Toporowski.

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Radost: Więc sądzi Pan, iż krytyk dlatego, że wytyka poetom ich braki, musi być człowiekiem tępym, oschłym, wkońcu — belfrem? Dobry krytyk to tak i sam artysta jak poeta, czy powieściopisarz. Materiałem krytyka jest dzieło sztuki, tak, jak materiałem dla pisarza jest życie. Tak więc, krytyk dobry jest nawet może organizacją artystyczną mniej impulsywną, lecz więcej rafinowaną od pisarza. Krytyk „destyluje” już nie życie, lecz jego produkt w postaci utworu poetyckiego. Czy sądzi Pan, że tego rodzaju praca nie wymaga też talentu, natchnienia i sztuki?!

Stefan B., Poznań: Zwłoka nic tu nie szkodzi, oczywiście, błąd prostujemy, ma Pan zupełną słuszność.

Wacław R., Grodno: Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. Co do pańskiego utworu radzimy by pan na razie przestał pisać. Trzeba się jeszcze uczyć. Nie pisanie w tym sensie, w jakim uczą się ludzie np. gry na fortepianie, lecz w sensie, stosunku autora do tematu. Te rzeczy nie biorą się z powietrza. Trzeba nad tem pracować, myśleć, szukać doświadczeń innych pisarzy. Niech Pan spróbuje. Polecalibyśmy na początek prozę naszego nieocenionego nigdy Prusa. Znajdzie Pan w niej tak uczciwy, tak prawdziwy zawsze stosunek do tematu!

Arkadiusz Mir, W-wa: Prosimy o inny artykuł w sprawie obchodzącej Pana i oczywiście wydrukujemy. Idzie nam o ton. Nie należy zapominać przecie, że spór rozgrywa się przed publicznością czytającą. Należy więc usunąć z polemiki to wszystko, co mogłoby obniżyć powagę dyskutujących. A więc należy opuścić niepotrzebne pieniaństwo, dotyczące istotnych omyłek druku. Pismo codzienne, mimo najlepszych chęci, nie może pozwolić sobie na sumiennność w korekcie taką, jakiej zażywają spokojnie wydawnictwa uniwersyteckie. Pozatem prosimy bardzo o przedyskutowanie treści, względnie błędów,

lecz w tonie spokojnym, a który nietylko prostowałby zdania czy opinie niezgodne z prawdą, lecz zarazem jasnością układu oświecał i pociągał czytelnika.

Kaz. J. Chełm: Pisaliśmy już niejednokrotnie, jak cenimy te przykłady. Sprawiają wrażenie kongenjalnych. Zastosujemy się do porządku, jaki Pan przewiduje. Książkę otrzymaliśmy, sprawozdanie nie poszło, nie mogliśmy bowiem ani ustalić, ani zgodzić się ostatecznie z opinią referenta poetyckiego. Sądzi- my, że wystąpi Pan już niebawem z czemś większem. Co do honorarjum, myli się Pan, prace te są honorowane, wykaz przesłaliśmy już administracji...

Zygmunt Sz., Kraków: Zaczął Pan bardzo dobrze: Dobry, wyraźny opis wagonu, drogi i t. d. Niestety — sam „konflikt” nierealny, nierzeczywisty. Oczywiście — i tak może być w życiu. W życiu może być wszystko, w powieści natomiast, czy w noweli może być tylko to, co autor potrafi uczynić do prawdy podobnem. Trzeba na to niezmiernie ostrożnych, świadomych podejść, sposobów i natchnień sugestji. Tego Pan nie wykazał wcale. Radzimy następne opowiadania opierać na wydarzeniach realnych. Wydarzenia te mocno ustawiać w czasie i przestrzeni. Charaktery tworzyć oczywiste, tkwiące w środowisku społecznym. Zobacz Pan, że trudniejsze to jest od najtrudniejszych fantazji.

Chan Ge: Prosimy o inne próby, bardziej wyraźne, a mniej okolicznościowe.

At.: Dziękujemy za zaufanie. Próbkę nieszczególnie. Pisze Pan o rzeczach, których nie rozumiemy. Nic niewiadomo z tych wierszy. Dlaczego „żał rozpięta piersi”, dlaczego karły mają milczeć, skąd te triumfy, upadki i t. d.? Czy nie możnaby tych uczuć wyrazić prostą, uroczą mową szczerzego natchnienia?

Stefan B.: Oba wiersze niedobre, pospolite, szczerze mówiąc — nic nie warte. Radzilibyśmy porzucić poezję, nie widzimy bowiem żadnych istotnych danych.

J. Mar., Poznań: Walce Chopin'a są szczytem tego, co może geniusz zrobić z t. zw. pospolitą formą. Urastają one pod piórem Mistrza do wyżyny poematów o tańcu i o ruchu. Tymczasem opisując kompozycje Chopin'a, rozkłada je Pan z powrotem na czynniki własnej indolencji pisarskiej. Do czegoż prowadzi taka praca i jaki ma cel?!

Częstochowa, skrzynka pocztowa 58: Bardzo dziękujemy. Są to rzeczy okropne. Służymy zawsze miejscem w tych sprawach i może zechce Pan przeprowadzić całą kampanję w tej materji. Wierzyć się nie chce, że jesteśmy w tej dziedzinie takimi barbarzyńcami! O artykuł, wspomniany przez Pana, prosimy.

Wanda J. K., Kraków: Wiersz dojrzały, o szlachetnej kaden- cji, oczywiście, że będziemy drukowali. Pisaliśmy kiedyś o współpracy Pani z dziedziny literatury niemieckiej. Czy zanie- chała Pani już tego zamiaru? Dziękujemy za tak miłe słowa.

S. H. Drukujemy Panu jeden z jego utworów, na razie w tej rubryczce. Aby przejrzał się Pan w perspektywie druku:

Jest gorące południe i pachną akacje,
Czasami zaszeleści liśćmi cichy wiew:
To ja tu przyjechałem na letnie wakacje
I siedzę w cieniu drzew.
Jak oddechy najłżejsze, po błękitnem niebie
płyną białe obłoki i płynie cały świat.
Ach, nie wiem już doprawdy: kocham więcej ciebie
Czy ten pachnący wiatr.

Widzi Pan, — wydrukowaliśmy. No, a teraz dalej, dalej, dalej, dalej, — do roboty.

Es: Artykuł w zasadzie słuszny, niestety jednak, nie o- party na t. zw. przykładach. Trzeba powołać się, po wysu- nięciu tezy, — na nazwiska twórców. Trzeba je rozdzielić, po- wiedzieć, — oto przykłady. Inaczej bowiem czytelnik nie wie i nie może wiedzieć do czego i do kogo stosować ma propo- nowane tezy. Czy nie zechce Pan przerobić rzeczy w tym sen- sie? Wydrukujemy chętnie. Z radością stwierdzamy, iż w ma- terji tej otrzymujemy wiele cennych artykułów od czyteln- ków. Zapominacie jednak panowie o rezonansie drukowane- go słowa: A więc, z racji dyskusji nie można wymyślać pi- sarzom i przeciwnikom-teoretykom. Chcemy prowadzić dys- kusję publiczną z czytelnikami, nie chcemy kłótni i bójek in- telektualnych.

Pilny Czytelnik w Zawierciu: Adresy żądane otrzyma Pan przez Związek Literatów Polskich (Warszawa, Bracka 5). Może Pan być spokojny, że autorzy prześlą Panu swe auto- grafy. Żaden z nich przecie nie zabierze Panu marki pocztow- ej. — to jasne. Zbierania autografów nie uważamy bynaj- mniej za śmieszność. W każdym kolekcjonerstwie jest pewna głębsza, cenna myśl.

Jan Sz., Chełm: Szczerze dziękujemy za tak miłe słowa. Współpracę z młodymi i najmłodszymi kolegami uważamy za miłą konieczność. Jakżeby to było inaczej, gdybyśmy jedni drugim nie przekazywali naszych doświadczeń i nie ostrze- gali się wzajemnie przed błędami.

Ja mówię: Ten wiersz poszedłby, nie wiemy jak podpisać. Może zechce Pan z powołaniem się w liście na swe utwory, nadesłać wyraźniejszy podpis.

Wacław Mich., Lublin: Po co też pisze Pan te wierszyki? Wolimy powiedzieć prawdę prosto z mostu: niema w nich ani krzty talentu. Jeżeli Pan musi, — rzecz prosta, trzeba pisać. Zajęcie szlachetne, gdyż bądź co bądź ulepsza Pan, o- gładza sposób swego wyrażania się. Z punktu widzenia kultu- ry języka każdy człowiek, piszący lepiej, jest swego rodzaju zdobyczą. Dlatego nigdy nie potępiamy grafomanów. Wszę- dzie, gdzie jest umiłowanie literatury, egzystują znani grafo- mani. Nie należy jednak myśleć o drukowaniu wierszy w ro- dzaju tych, które nam Pan nadesłał. Pisać — tylko dla siebie...

Edward G. Przeczytaliśmy pilnie o Malmgreenie. Szcze- ry zapał bije z tego wiersza, zapału tego jednak nie potrafił Pan dostatecznie opanować. Widocznie, nie można pisać „na gorąco”. Utwór poetycki rzadko udaje się pod wpływem bez- pośredniego afektu. Trzeba pewnej refleksji i miary oddalenia. Radzimy przerobić, powyrzucać owe Edeny, zamknąć całą, rzecz w twardej, groźnej prostocie.

A. Ancz. Co też Pan wypisuje!

Smak gorzkich, brązowych i mokrych migdałów
Jest w twoich, pani, podługnych oczach.
a z ust eleksir cierpkich szatów
spijam słomką blasku srebrzyście, pomału.

Anonimowy przyjaciel ze Lwowa: Ależ, Drogi Przyjacielu, nie mamy wpływu na te rzeczy. Rubryka ta do nas nie należy. Wielopolska tępi kicz w kinach, ale nie może tępić wszelkich zbrodni tego świata, gdyż nie da rady. Claveringa zamordo- wać nie możemy, to trudno, zresztą sam umrze. Smak publicz- ności we Lwowie jest inny niż w Warszawie. Polecamy się łaskawej pamięci i — oczywiście — niech żyje Lwów!

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYŃSKI

Drukarnia „Literacka”, N.-Świat 22.

Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.